Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

MIESIĘCZNIK POD RED. JERZEGO BRAUNA
ROK VIII NR. 3 (137) MARZEC 1939 R. CENA 50 GR.

Polska a zagadnienia prometejskie

Idea prometejska jest organicznie związana z hasłem: „za wolność naszą i waszą", głoszonym przez emisariuszy walczącej emigracji polskiej. Nie jest to więc twór sztuczny „agentur obcych", czy to niemieckich czy liberalno - masońskich, jak to insynuuje wielu, upraszczających nazbyt bezceremonialnie ten problemat. W aspekcie praktycznym oznacza ona wyzwolenie narodów Europy wschodniej, uciskanych przez imperium rosyjskie — dziś ZSSR — wyrosłe drogą podbojów i tworzące bezduszną, mechaniczną całość. W aspekcie ideo - historycznym pojęcie to jest znacznie szersze, mieści w sobie mit przebudzenia sił dziejotwórczych, uśpionych na olbrzymim stepie Eurazji, odgraniczającym masyw Azji od jej europejskiego półwyspu. Przesunięcie granic Zachodu daleko na wschód, całkowita przebudowa struktury organizacyjnej i stylu życia tych obszarów, włączenie ich w orbitę żywego, pulsującego świata wartości, któremu na imię: Europa, oto istota i wymiar właściwy mitu prometejskiego.

Jest oczywiste dla każdego Polaka, znającego dobrze historię i ducha swego narodu, że genezy tej idei trzeba szukać nie gdzieindziej, jak tu, nad Wisłą. Polska bowiem była wysuniętym bastionem i forpocztą Zachodu, ona dzierżyła w ręku pochodnię wolności, do której — jak ćmy do światła — parli nawet moskiewscy bojarzy. Kontrast między ponurym despotyzmem Iwana Groźnego ,a Polską „złotej wolności" szlacheckiej, był tak wielki, że siłą rzeczy czynił ją wcieleniem wyższych ideałów moralnych i polityczno - prawnych. Była więc Polska nie tylko „przedmurzem chrześcijaństwa", jak ją powszechnie nazywano w Europie. Misja jej nie ograniczała się do *obrony* tego typu cywilizacyjnego, który wytworzył Rzym Cezarów i Rzym Papieży. Miała ona również *zdobywać* wschód dla tych ideałów, miała być ogniskiem nieustającej krucjaty idej, nie orężnej ale duchowej.

Że Polska tę misję istotnie pełniła, dowodzi chrzest Litwy, a potem wyodrębnienie z morza „russkiego" nowych elementów: ukraińskiego i białoruskiego, których akuszerem stała się Polska, już choćby przez to, że odcięła je wyraźną linią granic od Moskwy i stepu, podnosząc je do swobód, panujących na ziemiach Rzeczypospolitej. Polska Sicz była niewątpliwie wzorem i ogniskiem atrakcji dla podobnych ognisk nad Donem i gdzie indziej, a sława polskiej husarii, walczącej z Turcją sułtańską sięgała aż po Ural i Kaukaz, a nawet poza Morze Kaspijskie, do Persji i Turkiestanu. Po rozbiorach, przykład Polski bijącej się o wolność działał elektryzująco na inne narody imperium. Wiadomy jest udział Polaków we wszystkich bojach o niepodległość czy to na zachodzie czy na ziemiach b. Austrii, czy na obszarze Eurazji, aż po Kaukaz i Syberię. A więc nie będzie przesadą stwierdzenie, że idea prometejska wyrosła organicznie z dawnej misji duchowej Polski na przedpolu Eurazji, a także z epopei powstań polskich.

To uznajemy za aksjomat. *Polska jest źródłem i ogniskiem ruchu prometejskiego*. W miarę jednak, jak idea ta przenikać poczyna dalej na Zachód, sprawa zaczyna się komplikować, gdyż inicjatywę praktyczną przejmują stopniowo inne siły. Najpierw zaczynają penetrować na ten teren loże masońskie, które od czasu świętego Przymierza i ingerencji absolutyzmu moskiewskiego w sprawy Europy, siłą rzeczy przechodzą do walki z caratem, jako główną ostoją reakcji. Potem zaczyna się interesować tą kwestią również imperializm niemiecki. Rozrost potęgi Prus, dążących do hegemonii w Europie, prowadzi z konieczności do tego wyniku. Klucz realizacji tych planów leży bowiem na wschodzie. Niemcy są trzymane w szachu, jak długo — w swej walce z Zachodem — mają za plecyma potęgę, skłonną zawsze do sojuszu z Francją i Anglią przeciwko nim. Toteż penetracja Niemiec na wschód zaczyna być zjawiskiem stałym. Naprzód przejawia się ona w okupacji pokojowej najwyższych stanowisk w Rosji carskiej przez Niemców, potem w poparciu udzielonym bolszewikom, gdy Rosja weszła w sojusz z Zachodem, wreszcie w wyraźnej

koncepcji rozbicia imperium, gdy Sowiety stały się wrogiem Niemiec, nie tylko politycznym lecz i ideowym.

Myśl o oderwaniu ziem południowych od Rosji i o stworzeniu tam „Wielkiej Ukrainy“, rzekomo niepodległej, w istocie zaś będącej państwem wasalnym, na usługach niemieckiego imperializmu, pojawia się w Berlinie już w połowie XIX-go wieku. Narzędziem tej myśli jest Austria, która rozdmuchuje w Małopolsce Wschodniej nienawiść wzajemną między współżyjącymi tam niezgorzej Polakami i Rusinami. Odtąd budzi się czujność polska na działanie „agentury niemieckiej“ na tym odcinku, odtąd też zmienia się nastawienie Polaków wobec narodu ukraińskiego, którego dążenia niepodległościowe były przedtem uznawane a nawet podsycane przez Polaków na Ukrainie zadnieprzańskiej.

Wejście tych nowych czynników: masono-liberalnego i niemiecko-imperialistycznego w orbitę zagadnień prometejskich wytworzyło zupełnie nową sytuację dla Polski. *Powstała groźna sprzeczność między naturalnym posłannictwem Polski na wschodzie, pokrywającym się na ogół z intencjami narodów prometejskich a między niebezpieczeństwami, jakimi zaczęła grozić nam realizacja tego mitu.* Dusza Polaka została niejako — w stosunku do tych problemów — rozdarta na dwie połowy. Uczuciowo każdy Polak musi traktować z najgłębszą sympatią dążenia wyzwoleńcze narodów ujarzmionych Eurazji; ale poczucie odpowiedzialności i rozum stanu każe mu zachować w tej dziedzinie jak największą ostrożność.

Istnieją w Polsce dwie tradycyjne koncepcje i postawy wobec zagadnień prometejskich: pozytywna koncepcja Piłsudskiego i negatywna Dmowskiego. Jak dotąd, nie wymyślono jeszcze żadnej innej. Pierwsza wyrosła z przeświadczenia, że głównym wrogiem Polski jest Rosja, podjęła odważnie zadanie rozbicia i unieszkodliwienia raz na zawsze potęgi moskiewskiej, przez wyzwolenie narodów uciśnionych. Druga, powstała z obawy przed Niemcami, jako największym wrogiem Polski, dostrzegła w idei prometejskiej, a w szczególności w koncepcji „Wielkiej Ukrainy“ groźbę okrążenia Polski przez państwa, które będą w ręku Niemiec taranem do rozbicia Rzeczypospolitej.

Gdy sobie uświadomimy, że przeciętny Polak patrzy na problem prometejski jedynie pod kątem tych dwu koncepcyj, to zrozumiemy łatwo, skąd się bierze niepopularność tej idei w społeczeństwie polskim. W stosunku do polityki prometejskiej Piłsudskiego konkretnym kryterium jest dla przeciętnego Polaka jej niepowodzenie. Wyprawa kijowska nie powiodła się; znaczy więc, że była nierealną mrzonką, a omal nie przyprawiła Polski o katastrofę. Wobec tego należy stronić od powtórzenia tego błędu. Przecież to wskutek marszu na Kijów, armie Tuchaczewskiego dotarły aż do wrót Warszawy i Torunia. Gdzie gwarancja, że przy następnej próbie nie powtórzy się to samo? A ryzykować niepodległości, okupionej tak ciężkimi ofiarami, nie wolno.

Rozumowanie to jest może nazbyt uproszczone, ale trafia do przekonania i trudno je odeprzeć. Zwłaszcza, że ma ono na swoją obronę mocne argumenty historiozoficzne i polityczne Dmowskiego. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak głęboko zaważyły te argumenty na postawie szerokich mas polskich wobec zagadnień prometejskich. Miliony Polaków myślą dziś tymi właśnie kategoriami. Dmowski — mąż stanu — pisał i argumentował jasno i w sposób trudny do odparcia. Dopóki tezy jego, w kwestii prometejskiej, nie zostaną przezwyciężone przez innych pisarzy politycznych, i to na najszerszej platformie historiozoficznej, nie może być mowy o zmianie stanowiska polskiego społeczeństwa w tej sprawie. Zwłaszcza, że ostatnie wypadki potwierdziły jego przypuszczenia. Ogół polski patrzy na prometeizm przez pryzmat kwestii ukraińskiej. Wiemy zaś, że gdy tylko kwestia ta wypłynęła na widownię, pod postacią t.zw. „Ukrainy Karpackiej“, od razu ostrze jej zwróciło się nie przeciw Rosji lecz przeciw Polsce. Trudno się więc dziwić, że miliony Polaków uważają dziś politykę prometejską za akt samobójczy.

Nikt nie zaprzeczy, że jest to skutek wmieszania się do tej gry między Polską a Rosją owych czynników obcych, z jednej strony masońskich a z drugiej niemieckich. Piłsudski nie był sam, gdy podejmował zagadnienie ukraińskie w r. 1920-tym. Miał on tam już potężnego rywala w postaci Niemiec. Rywal ten był wprawdzie osłabiony i prawie zlikwidowany przez pogrom Prus cesarskich, ale cień jego unosił się wciąż nad Dnieprem. Ten cień przeobraził się w realne niebezpieczeństwo w końcu 1938 roku.

Geneza paktu nieagresji z Polską jest całkiem jasna. Myśmy go zawarli, dla uspokojenia naszej zachodniej granicy. Ale Hitler, zawierając go, myślał na pewno o czymś innym. Wiedział on, że walka frontowa z Polską o Śląsk i Pomorze jest przedsięwzięciem zbyt ryzykownym. *Odłożył ją tedy na 10 lat, do czasu, gdy zrealizują się jego plany okrążenia Polski przez stworzenie Ukrainy.* Jest to najprostsze wytłumaczenie. Byłoby ono błędne tylko wówczas, gdyby Niemcy mieli na prawdę zamiar zrzec się na zawsze zrabowanych nam, a potem odebranych przez nas ziem zachodnich. Wierzy w to Władysław Studnicki, gorący zwolennik polsko - niemieckiej „Mittel - Europy“. Ale postępowanie Niemiec w r. 1938 nie pozwala nam już łudzić się, że Niemcy myślą na serio o takiej współpracy z Warszawą. Zbyt brutalnie zagarnęli oni wszystko dla siebie, rugując Polskę nawet z tych pozycyj, które były konkretną domeną jej wpływów.

Na inspiracje masońskie w akcji prometejskiej wskazywał dobitnie Dmowski m.in. w swej książce „Świat powojenny a Polska“. Twierdził on, że przyszła niepodległa Ukraina może stać się rojowiskiem awanturników z całego świata, szukających tam łatwych źródeł dochodu i intratnych stanowisk. Przede wszystkim jednak wskazywał na plany lóż francuskich i anglosaskich, którym uśmiechałoby się utorowanie drogi ekspansji politycznej i gospodarczej mocarstw zachodnich na te tereny do Morza Cazrnego, węgla donieckiego i nafty kaukaskiej. (Wiadomo, że Francja i Anglia są tak dalece opanowane przez masonerię, że można wprost utożsamiać ją z rządami tych państw).

Nie ulega więc wątpliwości penetracja i rywalizacja polityczna z jednej strony Niemiec i całego bloku faszystowskiego a z drugiej strony bloku mocarstw demokratycznych na terenie ruchu prometejskiego. W ten sposób kwestia ta zyskuje zasięg międzynarodowy. Dla samych narodów prometejskich ma to swoje złe i dobre strony. Dla Polski stwierdzenie tego faktu jest rzeczą decydującej wa-

gi, gdyż wprowadza w grę cały szereg czynników nieobliczalnych, co zmusza Polskę do maksymalnej ostrożności w podejmowaniu jakichkolwiek rozstrzygających kroków.

Gdyby partnerami rozgrywki prometejskiej była tylko Polska i Rosja, wówczas elementy zagadnienia dałyby się obliczyć. Można by wówczas planować i działać z pewną precyzją, wiedząc na czym się buduje i mając przekonanie, że się uniknie przykrych niespodzianek. Niestety sytuacja nie jest tak prosta. Problem prometejski wiąże się ściśle z olbrzymimi procesami historiozoficznymi, zachodzącymi w powojennej Europie.

Zdaniem Dmowskiego głównym zagadnieniem naszych czasów jest kryzys europejsko - amerykańskiej cywilizacji urbanistycznej, przemysłowej, dekadencja stopniowa białej rasy, która traci swój prymat w świecie na rzecz innych części świata, czyli t.zw. ras kolorowych. Walka toczy się w pierwszym rzędzie między rasą białą a żółtą, czyli między Europą a Azją. Step eurazyjski i zbudowane na nim imperium rosyjskie jest jakby olbrzymim buforem, oddzielającym te dwa światy. Zniszczenie tego buforu przyśpieszyłoby rozpad Europy. Dmowski występuje więc stanowczo przeciwko rozbijaniu Rosji na jej części składowe.

Ja nie podzielam tych obaw. Wydaje mi się, że nowa Europa Wschodnia, wyzwolona z pod tyranii ZSSR, może odegrać doniosłą i pozytywną rolę właśnie jako łącznik duchowy między rasą białą a światem ras kolorowych. Widzę w tym właśnie misję narodów prometejskich. Nie zamykam jednak oczu na to, że obszary te mogą stać się w niedalekiej przyszłości miejscem wielkiego starcia między dwu blokami ideowymi: faszystowsko - nacjonalistycznym i masońsko - komunistycznym. Grozi to wstrząsami, które mogą się odbić w sposób ujemny na Polsce, o ile wmiesza się ona w grę nie jako samodzielny czynnik, lecz jako pomocnik jednego z tych bloków. Dlatego podkreślałem już dwa lata temu, że Polska może podjąć inicjatywę prometejską tylko wówczas, gdy będzie miała własny system polityczny w Europie Środkowej, dostatecznie rozbudowany, by stać się dla niej podstawą operacyjną.

W obecnej fazie wyrastają przed Polską na tym terenie poważne trudności a nawet sygnały ostrzegawcze, które każą jej zająć raczej pozycję wyczekującą. Odróżniam wśród nich trudności zewnętrzne i wewnętrzne. Z pierwszych najważniejsza jest kwestia ukraińska, o którą rozbija się cały entuzjazm prometejski najżarliwszych polskich zwolenników tej idei. Nie jest to wyrzut pod adresem Ukraińców. Nie oni winni, że los umieścił ich najbliżej nas; zastrzeżenia można by wysunąć co najwyżej wobec błędnej polityki większości przywódców narodu ukraińskiego. Trudno się jednak dziwić, że Polska nie pragnie stać się pierwszą ofiarą zrodzonej niegdyś przez siebie idei. Druga z kolei trudność natury zewnętrznej, to zbyt wielka ilość partnerów do gry. Za wiele rąk, i to nieraz wielce podejrzanych, pcha się dziś do Europy wschodniej. Wydaje się tedy rzeczą roztropną przeczekać ten natłok gorliwych wybawicieli i wrócić do akcji dopiero wtedy, gdy ten szereg znacznie się przerzedzi. Trzecia trudność, to brak atutów, jakich potrzebuje Polska do rozegrania partii. Bezwątpienia, klucz zagadnienia znajduje się wciąż w ręku Polski. Ona ma wszelkie dane historyczne i geograficzne do roli rozstrzygającej w tym gigantycznym starciu z imperium Romanowych i Stalinów. Ale zadanie jest zbyt wielkie jak na środki finansowe i dyplomatyczne, jakimi w tej chwili rozporządzamy. Musielibyśmy więc — podejmując to dzieło — uciec się do współdziałania z innymi mocarstwami, przede wszystkim z Niemcami, a to właśnie kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo.

Istnieją też trudności wewnętrzne. Pierwszą z nich jest wspomniana już postawa negatywna społeczeństwa, wywołana fatalnymi doświadczeniami wyprawy kijowskiej i przeniknięciem w umysły szerokich mas argumentacji Dmowskiego. Drugą trudnością jest organiczny brak skłonności do zaborczej ekspansji, cechujący Polaków. „Cudzego nie chcemy, swego nie damy“ — oto hasło najbardziej w Polsce popularne. Krucjata na wschód uważana jest za jakąś ideé - fixe niezdrowego imperializmu, który nie ma w Polsce żadnych tradycji. Trzecia wreszcie komplikacja to wewnętrzne problemy gospodarcze i ustrojowe Polski, które skupiają na sobie uwagę rządu i obozów politycznych. Dopóki problemy te, takie jak kwestia żydowska lub uprzemysłowienie kraju nie zostaną rozwiązane, trudno będzie skłonić Polaków do aktywnej, „ryzykanckiej“ polityki wschodniej.

Na trudności zewnętrzne najprostszym remedium jest wytrwanie przy polityce neutralności, t.zn. odczekanie, aż sytuacja się wyjaśni. To kunktatorskie rozwiązanie można ująć trojako: 1) Czekać na dalszy rozwój wypadków na Zachodzie, gdyż wiele zależy od tego, czy konflikt włosko - francuski przeobrazi się w wojnę czy też zostanie rozwikłany pokojowo. 2) Czekać na dalsze etapy niemieckiego pochodu na Wschód, w nadziei, że same mocarstwa zachodnie okażą dość siły, aby położyć mu tamę. 3) Czekać na wynik ewentualnej rozgrywki wojennej między Niemcami i Rosją, na południe od naszych granic, a wkroczyć dopiero wtedy, gdy te dwie potęgi będą już dostatecznie wyczerpane.

Na trudności wewnętrzne widzę również jedno ogólne remedium: Jest nim idea misji dziejowej Polski, która znajduje w młodym pokoleniu żarliwych zwolenników i propagatorów. Tylko ona może zaktywizować na tyle energię zbiorową narodu polskiego, by przezwyciężył on w sobie obawę i niechęć do poczynań imperialnych w wielkim stylu, i rozwiązał w skróconym trybie paraliżujące go zagadnienia wewnętrzne, o charakterze gospodarczym i społeczno - politycznym. Rychłe zwycięstwo tej idei nie jest wykluczone, ma ona bowiem poważne tradycje w przeszłości. Pierwiastki jej tkwią przecież zarówno w historii Polski jak i w polskiej filozofii narodowej, zwanej popularnie mesjanizmem.

Jednakże taki program nie wyczerpuje jeszcze całości zagadnienia. Kunktatorstwo polityczne ma swoje złe strony, w myśl przysłowia: „nieobecny zawsze traci“. Przytem jest wątpliwe, czy Niemcy zdecydują się na atak w kierunku wschodnim, jeżeli Polska zachowa neutralność. A wówczas mogło by dojść do całkowitej zmiany kursu w Berlinie, a mianowicie do skierowania się wprost przeciw Polsce.

Także i praca nad przetworzeniem postawy polskiej z pasywnej na aktywistycznie - imperialną wymaga czasu. A tymczasem wypadki toczą się z szybkością lawiny. Od kiedy Polska dopuściła do usadowienia się Niemiec na południe od Karpat, w

basenie Dunaju, powstała dla nas konieczność szybkiej decyzji: 1) albo całkowita zmiana frontu i przyłączenie się do obozu antyniemieckiego, o co zabiega dziś tak gwałtownie dyplomacja angielska, 2) albo uderzenie niezwłocznie na Rosję i wzięcie w swe ręce inicjatywy prometejskiej, dopóki Niemcy, wraz z Włochami, zaangażowane są na zachodzie, aby doprowadzić czym prędzej do rozstrzygających faktów dokonanych.

Moim zdaniem Polska nie zdecyduje się ani na jedno ani na drugie. Zbyt silnie działają warunki geopolityczne jej położenia między Niemcami a Rosją, by zdobyła się ona na porzucenie swej „polityki równowagi". Wątpię też, by czynniki wojskowe poszły na takie „va banque". Nie dlatego, byśmy byli słabi, gdyż ja twierdzę — w przeciwieństwie do niektórych pesymistów — że Polska jest aktywem bardzo silnym. Po prostu dlatego, że sztaby generalne sięgają po oręż tylko w ostatecznej potrzebie, gdy już zawodzą wszelkie kombinacje polityczne.

Cóż więc nam pozostaje? To na co wskazywałem od szeregu lat, jako na jedyną drogę do rozwiązania problemu wschodniego: budowanie systemu środkowo - europejskiego, owego wału państw od Bałtyku po Adriatyk i Morze Czarne. Dopiero w oparciu o tę bazę, Polska może przystąpić do operacyj w większym stylu. Wówczas może się ona nie obawiać nawet współpracy silnych partnerów w rozwiązywaniu zagadnień prometejskich. Wówczas może ona rozmawiać na ten temat zarówno z Niemcami, Japonią i Italią, jak z Paryżem i Londynem. Powraca ona bowiem — w takiej konfiguracji — do tradycyjnej i kluczowej roli swej na wschodzie. Najwymowniejszym na to przykładem jest fakt, że kampanie moskiewskie Batorego i tryumfy Żółkiewskiego nastąpiły dopiero wtedy, gdy Polska wyrosła już na największe mocarstwo w Europie Środkowej. Najpierw byli Jagiellonowie powoływani na tron węgierski i czeski i zapędzający się aż na Bałkany, a potem dopiero wóz z carami Szujskimi wjechał w mury śpiewającej Te Deum Warszawy.

Wiem, że koncepcja ta nie fascynuje narodów prometejskich. Zrozumiała niecierpliwość każe im czekać na hasło szybkiej krucjaty na wschód. Ale realizm konieczności politycznych mocniejszy jest od uczuć. Polska zbyt wiele ma za sobą, bolesnych doświadczeń, by mogła się ważyć na jakiś krok lekkomyślny. Lecz właśnie ta ostrożność daje tym większą gwarancję, że gdy już sytuacja dojrzeje i Polska uzna za możliwe ująć miecz w rękę, gdy cały naród zrozumie konieczność akcji szybkiej i zdecydowanej, wtedy nie będzie już różnic między Polakami, a naród zdobędzie się na wysiłek wszechstronny i konsekwentny. Historia bowiem uczy nas, że bierność i niezgoda polska kończyła się nagle, jak nożem uciął, w momentach przełomowych, a miejsce ich zajmował zapał i determinacja, będące prawdziwą niespodzianką dla innych narodów. Tak dokonał się Grunwald, tak Orsza i wypędzenie Szwedów, tak wiktoria wiedeńska i rok 1920-ty.

Idea prometejska leży na linii posłannictwa dziejowego Polski. Naród Polski nie zdradzi tej misji, która kazała mu nieść światło wolności i cywilizacji zachodniej na wschód, ku stepom Eurazji. Podejmie ją jednak w tym momencie, gdy będzie mu to nakazywać nie tylko uczucie przyjaźni dla narodów ujarzmionych ale i racja stanu.

Do Pana Ministra Oświaty

w sprawie studium wrońskistycznego na uczelniach wyższych

Panie Ministrze!

Istnieje w Polsce od szeregu lat ruch umysłowy nazwany wrońskizmem, od nazwiska filozofa, który dał mu początek. Ruch ten rozrósł się ostatnio tak poważnie, że stanowi już dziś „szkołę filozoficzną" w pełnym znaczeniu tego terminu. Stało się to nie tylko bez pomocy i opieki oficjalnych ciał naukowych, lecz nawet wbrew nim, albowiem instytucje te, powodowane przysłowiowym konserwatyzmem i ulegając wpływom ideologii doktrynie tej niechętnych, hamowały rozwój tego ruchu. Świadczy to tym lepiej o jego prężności i żywotności samorodnej. Na III Polskim Zjeździe Filozoficznym okazało się dobitnie, że *istnieją dziś w Polsce tylko dwie „szkoły filozoficzne"* o *wyraźnie określonym obliczu teoriopoznawczym* i o *dynamice rozwojowej:* tzw. *„szkoła warszawska"*, logistyczno - semantyczna, stojąca na gruncie metody aksjomatycznej i skonstruowanych przez nią nauk formalnych, oraz *„szkoła wrońskistyczna"*, głosząca suwerenność filozofii w stosunku do nauk i posługująca się w rozwiązywaniu zagadnień metafizycznych — a także ściśle naukowych — metodą genetyczną czyli adekwatną, którą stosował Wroński w swym systemie „filozofii absolutnej".

Pierwsza z tych szkół cieszy się szerokim poparciem władz i instytucyj kulturalno - oświatowych, rozporządza szeregiem katedr na wszystkich uniwersytetach i czerpie środki na swe wydawnictwa i prace naukowe z funduszów publicznych. Druga opiera się wyłącznie na bezinteresownej pracy twórczej jednostek i na ofiarności prywatnej, umożliwiającej działalność wydawniczą. Mimo tych skromnych podstaw materialnych „szkoła wrońskistyczna" wydała już kilkanaście tomów przekładów dzieł Wrońskiego, gdy istniejąca od lat kilkudziesięciu — w ramach Polskiej Akademii Umiejętności — specjalna komisja dla wydania dzieł Wrońskiego, pod przewodnictwem Miriama - Przesmyckiego, nie zrobiła dotychczas nic w tym kierunku. Wrońskiści posiadają też dwa periodyczne organy prasowe, poświęcone studiom i propagandzie filozofii absolutnej, a mianowicie miesięcznik „Zet" (dawniej dwutygodnik) oraz rocznik „Wronskiana". Istnieje też T-wo Hoene - Wrońskiego, w którym ogniskuje się polski ruch wrońskistyczny i które rozszerza ustawicznie zasięg swej działalności.

Absurdalny stan rzeczy

Konserwatyzm ciał naukowych jest rzeczą znaną. System kopernikański wkroczył oficjalnie na wyż-

sze uczelnie polskie dopiero w 200 lat od daty swego powstania. Dwa wieki czekała również na uznanie teoria undulacyjna światła Huyghensa; zaporę przeciwko jej przenikaniu stanowił potężny autorytet Newtona. Toteż nieufność, z jaką odnosi się wielu uczonych polskich do doktryny wrońskistycznej wcale nas nie dziwi, zwłaszcza, że prąd antymetafizyczny, rozpowszechniony w ostatnich dziesięcioleciach, hamował siłą faktu jej oddziaływanie. Jednakże zrąb filozofii absolutnej założony został już w r. 1803, a dzisiaj mamy rok 1939-ty. Tych sto kilkadziesiąt lat powinno być dostateczną próbą czasu, jeśli już nie dla wykazania wartości bezwzględnej tez teoriopoznawczych i metodologicznych wrońskizmu, to przynajmniej dla włączenia tego systemu w żelazny repertuar uniwersyteckich studiów historyczno'- filozoficznych. Czyżby cenzus owych 200 lat, zastosowany wobec Kopernika i Huyghensa musiał koniecznie i nadal obowiązywać?

Można by jeszcze zrozumieć ten bierny opór, gdyby ruch wrońskistyczny był lokalnym zjawiskiem polskim. Ale ruch ten szerzy się i za granicą, i to na obu półkulach. Mamy tam filozofów, matematyków, astronomów, którzy całe życie strawili na studiach tej polskiej doktryny, którzy własnym sumptem podejmują jej reedycję zbiorową. Obojętność Polski na ten nimb wielkości, wytwarzający się wokół największego filozofa naszego narodu i Słowiańszczyzny, była jeszcze do usprawiedliwienia w czasach, gdyśmy nie mieli własnego państwa. Dziś jednak, gdy istnieje rząd polski, zdolny sprawować samodzielnie opiekę nad kreacjami naszej kultury narodowej, ta oficjalna niewiedza o światowej ekspansji myśli wrońskistycznej staje się już nie absurdem, lecz objawem nad wyraz smutnym. Dochodzi wszak do tego, że władze polskie muszą udawać za granicą, wobec obcych, że podzielają ich zainteresowanie dla osoby i filozofii Wrońskiego, gdy w kraju stosuje sie wobec niego metodę absolutnego „todtschweigen". Tak było w r. 1937, podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Wrońskiego na cmentarzu w Neuilly, gdzie obok francuskiego ministra oświecenia i prof. P. Hazarda z Sorbony figurował również p. amb. Łukasiewicz oraz delegat polskiego ministerstwa oświaty, ale żaden z nich nie przyznał sie oczywiście do tego, że w Polsce nie wykłada się filozofii Wrońskiego na uniwersytetach, nie wydaje się jego dzieł a Jowisze z naszych katedr otwarcie stwierdzają swą ignorancję w tej dziedzinie.

Trzy zapytania

Ta „docta ignorantia" jest zresztą u nas powszechna. *Inteligencja polska nadal nie odróżnia doktryny spekulatywnej mesjanizmu Wrońskiego od mistycznego pseudomesjanizmu Towiańskiego i Mickiewicza.* Wroński jest pomijany w podręcznikach szkolnych, jeśli zaś jego doktryna przypadkiem tam figuruje, to zawsze w fałszywej interpretacji, wkuwającej w głowy setkom tysięcy młodzieży polskiej notoryczne nonsensy. Czy podobny stan rzeczy byłby do pomyślenia w jakimkolwiek innym kraju cywilizowanym?

My, wrońskiści polscy, nie możemy już milczeć dłużej. Zmuszeni jesteśmy postawić Panu, Panie Ministrze, jako odpowiedzialnemu sternikowi polskiej kultury narodowej i oświaty publicznej, trzy zasadnicze pytania:

1) Dlaczego ukrywa się przed Polakami fakt istnienia polskiej filozofii, której bezcenne walory stają się przedmiotem badań w całym świecie współczesnym?

2) Dlaczego tamuje się swobodny postęp wiedzy, przemilczając przełomowe odkrycia naukowe i istnienie narzędzi poznawczych, których zużytkowanie techniczne mogłoby ugruntować i wyjaśnić podstawy teoriopoznawcze nie tylko metafizyki i ontologii, lecz i szeregu nauk szczegółowych?

3) Dlaczego wprowadza się systematycznie w błąd społeczeństwo polskie, a w szczególności kształcącą się młodzież, która opuszcza uczelnie z absolutną nieznajomością wielkich polskich systemów filozoficznych?

Sprzeczności i niekonsekwencje

Trudno wprost uwierzyć w przypadkowość tego absurdalnego stanu rzeczy. Wygląda on na system konsekwentnie stosowany. Naszym zdaniem system ten jest niemoralny i nielogiczny. Z jakiegokolwiek punktu widzenia będziemy go oceniać, zawsze dojdziemy do wniosków negatywnych. Jeżeli bowiem staniemy na stanowisku formalizmu pedagogicznego czyli t. zw. „wychowania państwowego", o którym pisze b. premier Janusz Jędrzejewicz, że „nie jest ono wyrazem żadnej określonej doktryny społecznej, żadnej wiary religijnej, żadnego określonego światopoglądu filozoficznego", — to musimy stwierdzić, że w formie tej jest miejsce na każdą treść, *nie wolno tedy państwu* — jeśli chce być konsekwentne — *wykluczać ani eliminować żadnego z prądów umysłowych, żadnej z doktryn filozoficznych czy teorii naukowych*, o ile nie godzą one, z gwałtownością rewolucyjną, w ustalony porządek społeczny.

Jeżeli natomiast zejdziemy z tej platformy absolutnego formalizmu pedagogicznego i staniemy na gruncie 8-mej tezy słynnej deklaracji Obozu Zjednoczenia Narodowego: „Kultura polska w nauce, sztuce i obyczaju winna być wykładnikiem polskiego geniuszu narodowego", nawiązując do „wartości rdzennych i rodzimych" — to przemilczanie polskiego dorobku twórczego w dziedzinie nauki i filozofii będzie całkowicie sprzeczne z tą tezą.

Gdybyśmy nawet przypuścili, że ten urzędowy laissez - fairyzm „wychowania państwowego" jest płaszczykiem, pod którym ukrywa się określona treść ideologiczna, a mianowicie panowanie doktryn masońskich w polskiej kulturze i nauczaniu publicznym, to i tak nie znaleźlibyśmy w tym jeszcze uzasadnienia dla metody „todtschweigen" stosowanej wobec filozofii Wrońskiego. Państwo bowiem ma prawo stosować cenzurę ideologiczną wobec teorii filozoficznych i naukowych tylko tam, gdzie wchodzą one na teren działania praktycznego, popadając w konflikt z systemem pojęć przez państwo infiltrowanym. *Nie wolno natomiast państwu — pod grozą postawienia się poza prawem — ingerować w ten sam sposób w dziedzinę wiedzy czystej, mającej za przedmiot tylko i jedynie postęp nauki i doskonalenie narzędzi poznawczych ludzkości.*

Można by więc nie mieć zastrzeżeń, gdyby państwo sprzeciwiło się wykładom publicznym tez politycznych, społecznych czy nawet ekonomicznych doktryny wrońskistycznej (choć ta doktryna społeczno - polityczna Wrońskiego prowadzi właśnie do ugruntowania legalności i prawa moralnego). Tam jednak, gdzie idzie o czyste poszukiwanie prawdy i pewności,

państwo nie może mieć żadnego wpływu; rola jego ogranicza się tu wyłącznie do ułatwiania nauce jej dążeń i postępów. Metodologia i teoria poznania, logika i matematyka, mechanika nieba i fizyka teoretyczna, tj. cała część ściśle spekulatywna doktryny wrońskistycznej winna niezwłocznie stać się przedmiotem nauczania publicznego.

Obowiązek państwa wobec nauki

W hierarchii celów publicznych nauka zajmuje miejsce najwyższe. Człowiek istnieje poto, aby dać świadectwo prawdzie. Prawdę osiągamy przez poznanie czyli przez zdobycie pewności. Filozofia i nauki to najdoskonalsze narzędzia poznania. Było by skrajnym barbarzyństwem twierdzić, że wiedza ma służyć państwu; przeciwnie, to państwo służyć ma wiedzy. Zadaniem jego jest wytworzenie takiego ładu polityczno - prawnego i takiej pomyślności ekonomicznej, by mogła w ramach tych jak najbujniej rozkwitnąć kultura. Rozwój wiedzy jest bowiem najpewniejszym kryterium i gwarancją postępu.

Są to truizmy, przypominamy je jednak, by tym mocniej udokumentować naszą tezę o obowiązku, jaki ciąży na państwie wobec nauki i filozofii. Państwo posiada aparat zorganizowany, przy pomocy którego spełnia ono swą misję kulturalno - wychowawczą. Jest nim szkolnictwo i instytucje kulturalno - oświatowe. Za ich pośrednictwem państwo naucza i wychowuje. Nie będziemy się tutaj wdawać w ocenę krytyczną przyjętego przez państwo polskie systemu wychowawczego i ograniczymy się do jego zadań instruktywnych. W tej dziedzinie państwo spełnia dzisiaj dwie funkcje, niezmiernie doniosłe: przekazuje dotychczasowe zdobycze wiedzy i stwarza uczonym warunki, w których mogą oni pracować nad jej dalszym rozwojem.

W tym przekazywaniu poznań i patronowaniu nowym odkryciom państwo nie może się kierować żadnymi uprzedzeniami czy sympatiami. Jedyną miarą powinna dlań być żywotność danego prądu umysłowego i jego wartość dla poznania. W ten sposób poczynały sobie uniwersytety niemieckie w ub. wieku. Ich elastyczność i dynamika twórcza stała się wzorem dla całego świata cywilizowanego. Każdy ruch spekulatywny, każdy wysiłek poznawczy, wzbogacający skarbiec wiedzy, znajdował tam formę wypowiedzi i laboratorium pracy badawczej, w postaci nowych katedr i ośrodków studiów.

Każda doktryna, każda metoda poznawcza, każde odkrycie musi oczywiście przejść przez filtr uczelni wyższych i rozbudowanej wokół nich pracy laboratoryjnej, zanim wejdzie w ten system obiegowy krążenia wiedzy, którym jest szkolnictwo powszechne. Ale zamykanie tym prądom dostępu na uniwersytety wypacza obraz kultury narodowej, hamuje jej swobodny rozwój i zniekształca jej funkcje. Szkolnictwo wyższe stanowić ma niejako zabezpieczenie przeciwko takiemu zastojowi i zwyrodnieniu.

Prosty stąd wniosek, że *system przemilczania cennych osiągnięć filozoficznych i naukowych za pomocą protegowania jednych „szkół" i prądów a rugowania drugich, oddaje jak najgorszą przysługę polskiej kulturze.*

Rola społeczna uniwersytetów

Uważamy jednak za konieczne wskazać tutaj na jeszcze jeden aspekt zagadnienia. Rola uczelni wyższych nie ogranicza się do posuwania naprzód postępów wiedzy i do przekazywania wstępującym w życie pokoleniom jej ustalonych już zdobyczy. Pełnią one prócz tego niezwykle doniosłą *funkcję społeczną*. Kto spojrzy z wysokiej perspektywy na dzieje społeczeństw, ten stwierdzi bez wątpienia, że uniwersytety były — już w średniowieczu — jakby akuszerami w procesie narodzin kultur narodowych. Dziś spowszedniało nam pojęcie Almae Matris, ale przed wiekami powstanie i rozwój każdej uczelni wyższej, to były wydarzenia na miarę epoki. Wystarczy przypomnieć czym była Bolonia dla Włoch, czym Sorbona dla „Francji wiecznej", czym Praga dla Czech i całej Europy Środkowej, czym jagiellońska Alma Mater dla Polski. Były to prawdziwe słońca nowopowstających systemów kulturowych, ogniska światła, wokoło których krążyć poczynały zbudzone z mgławicowego snu odrębności kulturalne narodów. Można zaryzykować twierdzenie, że *uniwersytety były katalizatorem tego olbrzymiego procesu, w łonie którego odbywała się jednocześnie indywidualizacja i uniwersalizacja kultury europejskiej.* Poprzez nie bowiem dochodziła do świadomości masy odrębność i osobowość kulturowa narodu; i poprzez nie ludzkość uczyła się wspólnego języka, którym była naprzód łacina scholastyczna teocentryzmu średniowiecznego, a później humanistyczna idea „l'uomo universale".

Każdy z narodów europejskich nowocześnie zorganizowanych ma u podstawy, w swej tradycji kulturalnej, ten pierwotny, scholastyczno - humanistyczny Sturm u. Drang Periode. Ma go i Polska. Niewielu jednak zdaje sobie sprawę z socjologicznego znaczenia tego faktu historycznego. A przecież to właśnie wtedy i *właśnie w murach akademij narodziła się tzw. „inteligencja", jako warstwa społeczna i jako rezerwuar sił duchowych państwa nowożytnego.*

Powstanie „inteligencji" datuje się sensu stricto od chwili, gdy na katedrach uniwersyteckich zaognił się konflikt między autorytetem a intelektem niezależnym, między nauką a teologią, konflikt kulminujący w sporze między metodą dogmatyczną a krytyczną, sformułowaną ostatecznie w system obiektywny przez Kanta, w jego „Krytyce czystego rozumu". W dobie rewolucji francuskiej, warstwa ta, zawieszona w próżni, po raz pierwszy zademonstrowała swą siłę niebezpieczną prawdziwej „mieszanki wybuchowej" powstającej tam, gdzie energia intelektu społecznego skierowana zostaje w łożysko nieodpowiednie.

Inteligencja — warstwa bez przydziału

Rewolucję francuską zamortyzowało dla siebie mieszczaństwo. Inteligencja pozostała nadal warstwą bez przydziału, z wieczystym spleenem niezadowolenia i niepokoju. Zaczęła tedy spiskować w lożach masońskich, a potem z proletariatem fabrycznym, którego użyć chciała jako maszyny oblężniczej przeciwko panującemu ustrojowi. Sądziła bowiem, że misją jej jest zrewolucjonizowanie Europy i uchwycenie w ręce władzy.

Dziś, po bankructwie ideałów rewolucji światowej, warstwa „inteligencka" przeżywa znów głęboki kryzys, co zdaje się być wstępem do nowych, jeszcze groźniejszych wstrząsów. *Trwać one będą tak długo, dopóki potężna ta, a nieuchwytna i niezorganizowana klasa społeczna, warstwa „bez przydziału", nie znajdzie dla siebie miejsca w ustroju.*

Otóż dla nas, wrońskistów, przeznaczenie tej warstwy jest całkiem jasne. Ma ona pełnić w społeczeństwie funkcję kulturotwórczą *wytwarzania wiedzy*. Uświadomi ją sobie jednak w całym zakresie dopiero wówczas, gdy ideał nauki i pewności podniesiony zostanie znowu do tej godności i powagi, jaką miał w epoce Kartezjusza, Hume'a i Kanta. Gdy polityka i ekonomia zostaną zredukowane do tej pozycji w hierarchii wartości, jaka im przysługuje. Gdy celem najwyższym człowieka stanie się *poszukiwanie prawdy*. Wtedy bowiem filozofia odzyska swą suwerenność i walor nadrzędny, a nauka stanie się potężną atrakcją dla umysłów nie ze względu na swą użyteczność praktyczną dla państwa i dla przemysłu, i nie ze względu na patent, uprawniający do wyższych szczebli w biurokracji państwowej, lecz *sama przez się*.

„Inteligent" nie będzie już wtedy sceptykiem-malkontentem, anarchicznym „Besserwisserem"; nie będzie też specem - robotem, wynajętym przez społeczeństwo, jako mózg standaryzowany; nie będzie degenerował się w pasorzytniczą warstwę notorycznych biurokratów. *Zacznie pełnić nareszcie rolę twórczą jako kadra umysłów pracujących samorzutnie i z satysfakcją najwyższą nad pomnożeniem i pogłębieniem kultury narodowej*. Uzyska wtedy pełną świadomość swej godności i funkcji społecznej.

Młodzież w impasie

Z przykrością stwierdzamy, że w Polsce współczesnej daleko nam jeszcze do tego ideału. Robi się wszystko, by kultywować arcypolskie lenistwo duchowe i niechęć do myślenia. Spycha się na szary koniec postulaty i potrzeby nauki. Pielęgnuje się nadal przedwojenny sceptycyzm teoriopoznawczy, agnostycyzm, minimalizm antymetaficzny, obojętność dla prawdy. W tej atmosferze nie może się zrodzić żywy kult myśli twórczej, interes poznawczy dla filozofii i nauk. *Skorośmy wyrzucili z murów naszych uczelni wyższych ideał prawdy i wiedzy czystej, jakim prawem uskarżamy się na młodzież, że zamiast uczyć się, polityku je i wyładowuje swój temperament w rozruchach i awanturach ulicznych?*

Gdybyście potrafili, Wy, przewodnicy młodzieży, rozpalić w jej sercach wiarę w potężne, niezniszczalne wartości geniuszu polskiego, w oryginalność i bujność polskiej twórczości kulturalnej, gdybyście wywołali przed jej oczyma wspaniałą wizję Polski — centrum kultury i sztuki, ogniska nowych świateł dla całej zbłąkanej w dżungli doktryn materialistycznych Europy, inaczejby wyglądała dzisiaj rzeczywistość polska. Niestety, poszliśmy po innej drodze. W kulcie trzeźwości i teraźniejszości, wyrzekliśmy się wielkiego spadku duchowego po naszych romantykach i mesjanistach. Nie uczyniliśmy nic, by wydobyć światło spod korca i ukazać doniosłość uniwersalną polskich idej cywilizacyjnych i polskich doktryn metafizycznych, kryjących w formie barokowej nieraz (jak u Trentowskiego) lub nieprzystępnej (jak u Wrońskiego) ogromne wartości pozytywne, nie tylko dla filozofii, lecz dla wielu dyscyplin naukowych.

Pozbawiona atrakcyjnej wizji i wiary w polskość młoda inteligencja nasza epoki powojennej zaczęła sobie żłobić dwa łożyska: słabsza i bardziej oportunistyczna ku biurokracji, posadom i synekurom w różnych półurzędowych organizacjach społecznych, samodzielniejsza, wyposażona w bujniejszy temperament, — ku ideom przełomu i rewolucji narodowej, których epifenomenem jest owo stałe wrzenie buntownicze na wyższych uczelniach, przechodzące już w stan chroniczny.

W ten sposób wpędzono inteligencję w impas, pchający państwo do kataklizmów społecznych i politycznych. Nie ma bowiem większego niebezpieczeństwa, jak owa przepaść wzajemnego rozjątrzenia, otwierająca się między zorganizowaną biurokracją pasożytniczą a zatomizowanym społeczeństwem malkontentów. Groźnym symptomem tego jest z jednej strony degryngolada w państwo policyjne, a z drugiej strony wtrącenie młodzieży w stan beznadziejny ustawicznego a bezsilnego „veto", wyładowującego się nieuchronnie w aktach rozpaczy takich jak czyn Doboszyńskiego.

Odebranie autonomii uniwersytetom to nie był nawet plaster naklejony na jątrzącą ranę. To było raczej dolanie oliwy do ognia, który odtąd pali się jasnym płomieniem. Trzeba z tym zerwać. Trzeba odnaleść wspólny język z tą lepszą częścią inteligencji, która chce Polski wielkiej, niepospolitej, przodującej innym narodom. *Trzeba stworzyć ogromny warsztat pracy twórczej dla mózgów i talentów polskich. Trzeba pomyśleć wreszcie o Polsce Nowego Oświecenia. dającej światu nowe koncepcje filozoficzne i społeczne, nową historiozofię i nowy styl życia.*

O reorganizacji studiów wyższych

To wszystko tkwi już potencjalnie w dorobku duchowym przeszłości. Wystarczy rozwinąć idee naukowe doktryny Wrońskiego, pedagogiki Trentowskiego, filozofii pracy Brzozowskiego, wystarczy zastosować systematycznie taką np. metodę genetyczną filozofii absolutnej do szeregu zagadnień aktualnych nauki współczesnej, aby otrzymać wyniki rewolucyjne, o niewyczerpanej płodności dla dalszego rozwoju wiedzy. Przykładem widomym są takie np. prace współczesne polskich astronomów - wrońskistów zakładające podwaliny nowej mechaniki niebios i geostatyki, wyprzedzające i reformujące całą mechanikę klasyczną Newtona.

Aby jednak zaktualizować te wielkie wartości i pchnąć w ogóle na inne tory rozpęd twórczy inteligencji polskiej, *trzeba pomyśleć* o *gruntownej i celowej reorganizacji szkolnictwa wyższego w Polsce*. Wiemy, że jest to bardzo trudne wobec znanego konserwatyzmu naszych uniwersytetów, tych nawet, których tradycje historyczne nie są zbyt długowieczne. Ale nie od razu Kraków zbudowano. Zamiast radykalnych cięć, można zastosować metodę stopniowych, ewolucyjnych przeobrażeń. Trzeba tylko mieć wyraźny cel przed oczyma i nakreślić z rozmachem główne linie rozwoju.

Obecna organizacja studiów wyższych w Polsce odrodzonej nastawiona jest: praktycznie na wypuszczenie rok rocznie określonej cyfry inteligentów z patentami, uprawniającymi do wyższych szczebli w hierarchii urzędniczej, — teoretycznie, na mnożenie bakałarzy, ciasnych specjalistów i kontynuatorów osławionego przyczynkarstwa. Może to określenie zbyt ostre, ale bardzo bliskie prawdy, szczególnie w odniesieniu do filozofii i polonistyki. Supremacja formalizmu jest uderzająca; na wydziale filozoficznym na pierwszy plan wysuwają się dyscypliny formalne: logistyka i semantyka, usuwając w cień samą filo-

zofię; na studiach polonistycznych lingwiści - filolodzy zahukali i steroryzowali zupełnie historyków literatury i teoretyków sztuki. *Zaniedbano więc całkowicie treść myśli na rzecz formy, co powoduje notoryczne wysychanie żywych źródeł twórczości spekulatywnej na uniwersytetach polskich.*

Nic dziwnego, że spod takiego stempla wychodzą albo anarchiści albo ludzie o małych ambicjach i ciasnych kręgach zainteresowań, przeżuwacze wiedzy, niezdolni do wydajności naukowej i twórczej w stylu renesansowym. Tymczasem Polska współczesna, naciskana przez gigantyczne siły z zewnątrz, stojąca przed niezliczonymi zadaniami i problemami swego bytu, potrzebuje zupełnie innej kadry osobowości i mózgów. *Uniwersytety polskie powinny sobie postawić za cel wychowanie nowego „l'uomo universale", łączącego w sobie prometeizm celów z pozytywizmem metod, człowieka o wielkich aspiracjach twórczych, wierzącego w siłę rozumu ale unikającego skrajności i głęboko zdyscyplinowanego w obliczu swoich zadań i obowiązków społecznych.*

Taki typ człowieka stworzyć można w Polsce tylko przez położenie nacisku na harmonijny i pełny *rozwój świadomości*, jako na główny cel wychowania. Świadomość rozwija się najpełniej, gdy zachowujemy równowagę pomiędzy życiowymi, immanentnymi a klerkowskimi, transcendentnymi ideałami osobowości. Równowaga ta i spoistość wewnętrzna istnieje znowuż tylko tam, *gdzie człowiek dociera twórczo i badawczo do istoty swego „ja", poprzez bezinteresowny wysiłek poznawczy poszukiwania prawdy.* W ten sposób zdobywa się grunt pod nogami i własny, wyraźnie określony stosunek do rzeczywistości: to co nazywamy *światopoglądem* („ja mam swój sąd własny i to jest cała moja siła" — powiada Konrad w „Wyzwoleniu").

Ten klucz do duszy własnej i jasny pogląd na rzeczy daje człowiekowi studium filozoficzne, o ile jest ono dlań głębokim przeżyciem wewnętrznym. Wniosek: nauczanie filozofii i zapoznawanie z jej metodami winno być ośrodkiem całego naszego szkolnictwa wyższego. Suwerenność i nadrzędność filozofii powinna być w tym systemie podkreślona niezwykle silnie. Katedry historii filozofii winny być obsadzane ze szczególną czujnością i troskliwością, tak by znaleźli się na nich prawdziwi wychowawcy pokolenia, ludzie o wielkich umysłach i skrupulatnym poczuciu odpowiedzialności. Jednocześnie poświęcić trzeba wiele czasu i uwagi filozofii kultury i estetyce. Dokoła tego ośrodka zgrupować trzeba dopiero dyscypliny propedeutyczne — jak logika, semantyka z jednej strony, a studium lingwistyczno-polonistyczne z drugiej strony.

Wszystkie niemal wielkie systemy filozofii polskiej, z wrońskizmem na czele, stawiały na pierwszym planie rozwój twórczy osobowości, owo sokratesowskie *gnoti seauton*, pomnożone o kartezjańskie „Cogito" i fichteańską „Wissenschaftslehre". Toteż katedry filozofii polskiej powstać powinny w przyszłości na każdym uniwersytecie polskim.

Tradycyjna linia rozwoju nauki polskiej

Ta reorganizacja systemu nauczania i wychowania w naszym szkolnictwie wyższym nie byłaby — jak widzimy — jakimś rewolucyjnym przełomem, wymagającym radykalnych posunięć. Klucz do niej spoczywa po prostu w zmianie nastawienia i polityki kulturalno - oświatowej. Odwieczne tradycje naszej Alma Mater bynajmniej nie stoją w sprzeczności z tą koncepcją. *Na wyższch uczelniach polskich zmagały się ze sobą zawsze dwa zasadnicze kierunki: formalizm i realizm przyrodniczy.* Pierwszy ma swe źródło w starodawnej symbiozie scholastycyzmu i humanizmu (logiki dialektycznej i filologii klasycznej), jaka dokonała się na wszechnicy jagiellońskiej jeszcze przed jej zakostnieniem i upadkiem, gdy szczyciła się ona nazwiskami Jana Głogowczyka i Pawła z Krosna a opieką duchową wspaniałego patrona humanizmu, Zbigniewa Oleśnickiego. Realizm przyrodniczy (nazwijmy go „pozytywizmem polskim") narodził się z idej oświecenia, w dobie Komisji Edukacyjnej i promieniowania wszechnicy wileńskiej, wsławionej pracami Jędrzeja Śniadeckiego; korzenie tego prądu tkwiły już jednak w epoce Wojciecha z Brudzewa i Kopernika.

Stało się wreszcie tak, że na uniwersytetach zwyciężył ostatecznie formalizm humanistyczny a na politechnikach, przeżywających dziś u nas tak bujny rozkwit, matematyka i wiedza przyrodnicza. Umysłowość polska zdradzała zawsze pęd szczególny do logiki teoretycznej (może to piętno długotrwałej tradycji scholastycznej!) oraz do studiów nad językiem, co znalazło swój wyraz nawet w dziwacznych teoriach lingwistycznych i fantastycznym językotwórstwie XIX-go wieku. Temu przypisać należy łatwe zwycięstwo „szkoły warszawskiej", n. b. przygotowane jeszcze przez działalność pedagogiczną prof. Twardowskiego, a kulminujące w tryumfach naszych logistów na zjazdach zagranicznych. Z drugiej strony organiczny pozytywizm polski ciążył zawsze ku naukom ścisłym, takim jak matematyka, astronomia, fizyka teoretyczna; nawet tak „oderwany" myśliciel, jak Wroński, doprowadzający do wyżyn subtelności spekulację metafizyczną, był jednocześnie wielkim matematykiem i astronomem, a nie stronił też od wynalazków technicznych.

Otóż *doktryna wrońskistyczna, przy całej swej nowości teoriopoznawczej i metodologicznej, da się nawiązać z łatwością do tej tradycyjnej drogi rozwojowej polskiego życia umysłowego* [1]).

Z drugiej strony filozofia matematyki Wrońskiego, oraz ugruntowana na niej jego mechanika niebios, teoria światła i teoria budowy materii (spec. teoria cieczy), stanowi jakby naturalną nadbudowę i rozwinięcie tych dyscyplin, których uprawa dominuje dziś w nauce polskiej[2]).

---

[1]) W pracy mej p. t. „Wrońskizm a nauki formalne", zamieszczonej w I tomie rocznika „Wronskiana", zademonstrowałem, jak przez krytykę podstaw logiki formalnej i semantyki, a w szczególności *funkcyj najwyższych*, na których gruntują swój byt obydwie te dyscypliny, przejść można bezpośrednio do „funkcyj absolutnych", którymi posługuje się Wroński w pobudowie swej doktryny. Wynika stąd wyraźnie *uzupełnienie się wrońskizmu i nauk formalnych*, przynajmniej w ich aspekcie teoretycznym.

[2]) Dowodzą tego sukcesy badawcze astronomów-wrońskistów takich jak P. Demiańczuk czy Ks. Jankowski, którzy dochodzą na własnej drodze do wyprowadzenia tych samych właściwie praw i wniosków mechaniki, które otrzymał Wroński w ub. wieku, a które dotąd nie zostały zużytkowane przez naukę.

O studium wrońskistyczne

Wydaje nam się, że argumenty powyższe — zarówno ściśle spekulatywne jak i te o charakterze społecznym — przemawiają dostatecznie silnie za koniecznością przebudowy systemu nauczania na naszych uczelniach wyższych, oraz *za utworzeniem specjalnych katedr filozofii i doktryny fizyko - matematycznej Wrońskiego*. Rozumie się samo przez się, że realizacja praktyczna tych postulatów nie jest łatwa. Planować na papierze można bez ograniczeń, ale znaleść ludzi zdolnych i kompetentnych, do obsadzenia zaprojektowanych placówek, jest znacznie trudniej. Pośród wrońskistów polskich jest paru głębokich znawców doktryny filozoficznej i matematycznej Wrońskiego, lecz nie są to przeważnie fachowi pedagodzy. Za granicą znaleźliby się może i tacy (przykładem Godofredo Garcia, dziekan wydziału matematycznego w Limie), należy jednak wątpić, czy zdecydowaliby się oni na przyjazd do Polski i na nauczenie się polskiego języka.

A jednak szkopuły tego rodzaju da się zawsze usunąć, przy odrobinie dobrej woli. Jako punkt wyjścia wystarczyłoby przecież stworzenie studium wrońskistycznego na jednym z uniwersytetów polskich, np. w Warszawie i w jednej ze szkół politechnicznych. *Katedra ta, obsadzona przez filozofa i matematyka, znającego dobrze całokształt doktryny, wykształciłaby w ciągu lat zespół wykładowców, którzy wypełniliby tę dotkliwą i wstydliwą lukę na naszych uczelniach wyższych.*

Polska winna spłacić ten dług jednemu z największych swych synów, który pracował bezinteresownie przez całe życie w najtrudniejszych warunkach materialnych, po to by umrzeć na obczyźnie nie doczekawszy się uznania od rodaków. Zwłaszcza, że dzieło jego przetrwało próbę czasu, jak żaden inny z wielkich systemów metafizycznych XIX w. i dziś przejawia niezwykłą siłę ekspansji, przysparzając chwały imieniu polskiemu a nauce nowych odkryć i zdobyczy.

Pan, Panie Ministrze, będąc sam wybitnym uczonym i pedagogiem, potrafi niechybnie ocenić niepospolite korzyści, jakie mogłoby przynieść kulturze polskiej to nawiązanie do świetnych tradycyj naszej myśli filozoficznej i zapłodnienie jej nowymi metodami poznawczymi. Trudno wprost objąć spojrzeniem wszystkie następstwa tego przełomowego kroku, tak dla rozszerzenia podstaw naszej kultury duchowej, jak i dla podniesienia prestiżu Polski w świecie współczesnym. Stworzenie bowiem u nas w kraju takiego ośrodka studiów wrońskistycznych uczyniłoby ją niewątpliwie potężną atrakcją dla wszystkich badaczy tej filozofii, rozproszonych po różnych krajach.

W nadziei, że projekt mój, dojdzie do Pańskiej wiadomości i będzie poważnie rozpatrzony — kreślę się z głębokim szacunkiem.

Jerzy Braun.

„Drang nach Osten"

Zainteresowanie zagadnieniami niemieckimi jest dzisiaj w Polsce bardzo duże. Czyta się wiele na ten temat w prasie codziennej i periodykach. Śledzi się z przejęciem posunięcia Hitlera. Komentuje jego mowy i opinie. Padają przecież z tamtej strony słowa o pokoju, przyjaźni, stałych granicach itp. Co sądzić należy o tym wszystkim? Jakie istotne prądy nurtują w Niemczech? Jaki jest kierunek naporu niemieckiego? Jaka jest nośność słów oficjalnych, a jaka faktyczna dynamika propagandy?

Przynajmniej większą część tych interesujących i żywotnych dla nas pytań naświetla znakomicie książka J. Kisielewskiego *„Ziemia gromadzi prochy"**) Nie te zagadnienia bezpośrednio ma na uwadze autor. Bynajmniej. Istotą książki jest zagadnienie Słowiańszczyzny Zachodniej, *„sprawa wielkiej zmowy"* — *„Drang nach Osten"*. Wiemy jednak, że odpowiadając i wyświetlając to zagadnienie, dajemy istotną odpowiedź na wszystkie poruszone wyżej pytania.

*

Nie można czytać spokojnie książki J. Kisielewskiego. Ale właśnie na spokój zdobyć się trzeba, bowiem czytając tę książkę dotykamy rzeczy ważnych, najważniejszych, dotykamy krwawiącej rany naszej Ojczyzny — zachodniej granicy.

W obliczu majestatu śmierci, męki, nieprawdopodobnych zmagań się ducha, należy zachować się z całą powagą, z głębokim szacunkiem, należy mieć serce i myśl czujną, zdolną do obejmowania szerokich horyzontów i perspektyw.

A właśnie czytając karty książki „Ziemia gromadzi prochy" raz w raz stajemy w cieniu śmierci, słyszymy niemal jej pochód złowieszczy, trzask łamanych kości, zgiełk bitewny wojowników, jęk kobiet i dzieci. Stajemy w obliczu dramatu, jaki w dziejach nie często się spotyka, a jeśli się spotyka, to nie w takiej skali, w takim zasięgu, w takim rozmiarze natężenia i dynamiki.

I.

Dramat, jaki przed oczyma naszymi odtworzył autor za pośrednictwem kart swej książki, jest klasyczny, więcej jeszcze, ma kształt monumentalny, styl hieratyczny. Wykazuje jedność akcji, czasu i miejsca trwania. Akcją — gigantyczne zapasy olbrzyma Liga z turem germańskim, czasem — stulecia dziejów, miejscem — ziemie nad Łabą, Odrą i Wisłą.

Mówiąc krótko, autor zobrazował niszczycielski pochód germański na Wschód, bezpardonowe i nieustępliwe parcie Germanów na ziemie Słowian.

Książka Kisielewskiego — według pierwotnego planu — miała zawierać reportaże z wojażu po Niemczech, w czasie jednak podróży zamiar początkowy uległ zasadniczej zmianie. Dziesiątki drobnych szczegółów naprowadzało na inne ujęcie tematu niż to, jakie było zamierzone. Autor oświadcza: „Pewnego dnia stało mi się jasne, że wjeżdżając w grani-

*) Poznań 1939. Księgarnia Św. Wojciecha. Str. 502.

ce Niemiec, wkracza się w sam środek sprawy, nad której wydęciem pracują tam setki mózgów, płuc i rąk, a która jest zwrócona przeciw Słowiańszczyźnie".

Jakaż to sprawa?

Ni mniej ni więcej, sprawa zasadnicza, najważniejsza z ważnych, sprawa honoru i dumy naszej narodowej, wartości naszej kultury i miejsca naszego w dziejach cywilizacji.

Autor stwierdza, że w Niemczech, chociaż nie osobiście, uraża się Polaka na każdym kroku. „Przypominano niższość rasową, drugorzędność historyczną, nieprzerwaną zależność od ducha i kultury niemieckiej. Stwierdzano, że wszystko, czego się Polska dopracowała w historii — zawdzięcza pomocy niemieckiej. Od pewnej chwili — przy zbliżaniu się do morza — poczęto zarzucać bandytyzm i łupiestwo". Oto, co mówił pewien wykształcony Niemiec: „Nie wolno już tego dziś ukrywać, że w jednym z okresów historii nieokrzesane bandy słowiańskie napadły na dobrze zagospodarowane i cywilizowane plemiona Germanów siedzące nad Łabą i Odrą i że je wyniszczyły do szczętu, cywilizację tych stron cofając o kilka stuleci".

Wobec powyższego stanu rzeczy, każdy rzetelny Polak powściągnąć musi niecierpliwość, stłumić uczucie pogardy, musi zdobyć się na spokój i przystąpić z całym zasobem dobrej woli, z całym aparatem wiedzy i nauki do rozpatrzenia problemu polsko - niemieckiego na przestrzeni dziejów.

Tak też postąpił i autor. Reakcja Polaka na napastliwość niemiecką musi być pełna godności ale i siły zarazem. Musimy w psychice Polaka odnaleźć te hartowne moce, które pozwolą nam raz na zawsze, nieodwołalnie i nieodparcie doprowadzić do końca konflikt słowiańsko - germański, przesądzić wynik wiekowych zmagań naszych pradziadów i ojców na naszą ostateczną korzyść.

II.

Problem pierwszy, jaki rozwiązać trzeba, to zagadnienie, czy ziemie nad Łabą, Odrą i Wisłą, to były ziemie Słowian.

Prehistoria odpowiada: Tak!

„W czworoboku o granicach: płd. brzeg Bałtyku — linia prosta od ujścia Łaby przez Czeski Las ku Dunajowi — Dunaj — Wisła trwa od końca neolitu wielka kultura rolnicza — prarodzic Słowiańszczyzny. Tu w II okresie epoki brązowej wyłania się jako zwarta i jednolita całość wybitnie rolnicza kultura cmentarzysk popielcowych typu łużyckiego, z której wywodzimy się wraz z resztą Słowian.

Już od młodszej epoki brązowej poczynając uderzają w nas od zachodu przybyłe ze Skandynawii ludy koczownicze. Tym samym szlakiem idzie później, poprzez całe wieki napór niemiecki".

A więc „siedzimy na ziemiach tych z górą... cztery tysiące lat. Wyrośliśmy z kultury rolniczej, która przede wszystkim tworzy cywilizację, a nie z włóczęgi".

Tak opowiada prehistoria, tak mówią dzieje ziemi słowiańskiej „między Łabą, Odrą i Wisłą, właśnie tam, gdzie wystarczy zanurzyć rękę głębiej w nadmorski piasek, aby zaczerwienił się krwią, i wystarczy otworzyć niegłębokie wnętrze ziemi, aby poczęło krzyczeć trwogą i przerażeniem".

Odkrycia archeologiczne potwierdzają w całej pełni słowiańskość tych ziem, odtwarzają wysoką kulturę łużycką, która wykruszyła się i wyniszczyła pod naporem łupieskich gromad germańskich. Świadkiem tej prawdy jest Biskupin, wykopaliska na Rugii, wykopaliska na Wołyniu (Wolin), wyspy słowiańskie koło Hannoweru, tysiące zniekształconych nazw słowiańskich w Meklemburgii, Brandenburgii, na Pomorzu, ruiny grodów słowiańskich, resztki kaplic, kościołów, dworów pod Szczecinem, nad Odrą, na Pomorzu Zachodnim.

Nauka wypowiedziała się za słowiańskością ziem nad Łabą i Wisłą.

Głęboką erudycję wykazał autor, dając w syntetycznych skrótach przegląd naukowych dociekań, dowodów i pewników na tezę odwiecznych praw Słowiańszczyzny do ziem, które Niemcy uważają za „urdeutsch".

Bo właśnie w Niemczech współczesnych, opanowanych mistyką rasy i wyższości kultury germańskiej, prowadzi się olbrzymią propagandę, aby udowodnić „niemieckość" ziem słowiańskich. Propaganda ta działa przez naukę, prasę, wystawy, szkołę i politykę.

Nauka niemiecka sili się udowodnić, że nie tylko ziemie nad Łabą i Odrą były niemieckie, ale także Pomorze, Wielkopolska, Śląsk były dzierżawami dawnych Germanów. *„Niemcy przystępują do tworzenia mitów opartych w całości na kłamstwie"*.

Słowianie według tez nauki niemieckiej przybyli na te ziemie dopiero w w. IX.

Nigdy jeszcze i nigdzie — stwierdza autor — na potwierdzenie jakiejś fałszywej tezy nie użyto tylu przekonywujących, chytrych i podstępnych argumentów jak obecnie w Niemczech. Muzea, pełne autentycznych zabytków słowiańskości, świadczyć mają o tych wspaniałych pragermańskich czasach i wysokiej kulturze w epoce... „unsere Urväter". Mit o tych „urgermanische Zeiten" omotał i zafascynował całą psychikę niemiecką.

A tymczasem... tymczasem „Prusy na całej przestrzeni nie mają pod sobą ani kawałka, ani kilometra ziemi niemieckiej" — wszystko pochodzi z grabieży.

Wystawy i prasa, szkoła i lektura wbijają na każdym kroku w Niemca, że jest odwiecznym dziedzicem ziemi nad Łabą, Odrą i Wisłą. Według tez hitleryzmu Germania była drożdżami kultury europejskiej!

„Narodowy socjalizm chce rozpocząć nową epokę" — chce więc nawrócić do praźródła germańskości, do „punktu, w którym na ziemiach niemieckich nie było ani chrześcijaństwa, ani cywilizacji, ani racjonalizmu, ani Żydów".

III.

Ponieważ „niemieckość" ziem należących obecnie do Polski (Pomorza, Wielkopolski, Śląska) uważają Niemcy za udowodnioną, więc te ziemie uznaje się za „zabrane Niemcom", „abgetrennt", granicę polsko - niemiecką — za granicę „tymczasową".

W wykresach i na mapach wystawowych, w muzeach i prasie, w atlasach i książkach na karcie Europy Słowianie występują dopiero na wschód... od Bugu.

Oto niemiecka prawda naukowa.

Niemcy nie zrabowały ziem polskich. Fryderyk odebrał tylko ziemie, które dawniej do Niemiec należały.

Jakże wypowiada się historia na ten temat?

Gdy Polska się tworzyła, sercem Polski był Poznań. „Rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowej" była Odra. „We władaniu pierwszych Piastów była ziemia górnej Odry: Śląsk; była ziemia środkowej Odry: Łużyce i ziemia Lubuska".

W czasach pierwszych Piastów na ziemiach nad Łabą i Odrą rozbrzmiewał język słowiański, niemal identyczny.

Cóż nam dziś zostało z dziedzictwa Chrobrego? Oś geograficzno - polityczna Polski przesuwała się w ciągu wieków coraz bardziej na wschód. Dziś jest Warszawa sercem Polski. Poznań zaś leży na kresach.

Ma się ochotę krzyknąć za przykładem współtowarzysza podróży autora: „Psiakrew, cóż za głupota, cóż za niezdarność, żeby nie móc utrzymać swojej ziemi!"

Oś geograficzno - polityczna przesunęła się wyraźnie na wschód za czasów Jagiellonów; słusznie autor podnosi, że koncepcja państwa za Jagiellonów była inna niż za Piastów.

Patrząc na mapę i śledząc postęp germanizmu w ciągu wieków, widzimy wyraźnie, aż za wyraźnie, że granica zachodnia państwa bynajmniej nie była stała, ale krwawiła odwiecznie, łamała się i posuwała na wschód, na wschód... Gdzie ujście Odry? A dziś Gdańsk komu służy?.

Czyż to nie uczy nas wiele, nie powinno nas uczyć?

„Gdy Mieszko chciał mieć Odrę, to wiadomo dlaczego tego chciał — Odra była kluczem strategicznym; gdy Chrobry walczył uparcie przez trzynaście lat, przez trzy wojny o zachodni pas Polski, to wiedział dlaczego — ten pas był zabezpieczeniem przed Niemcami".

A dziś? Dziś sięgają Niemcy po ujście Wisły. Oto jest stała granica polsko - niemiecka w ciągu wieków!

Łaba opanowana niemal na całej przestrzeni (włączenie Sudetów), Odra prawie na całej, a teraz kolej na Wisłę...

Granice niemieckie na wschodzie, to według ich kartograficznych wydawnictw „Zwangsgrenzen", granice wymuszone. Z tysiąca kilometrów tych granic uznają tylko... kilkudziesięcio kilometrowy odcinek między Kępnem a Lublińcem.

Propagandowe mapy niemieckie, rozrzucane masowo, ilustrują etapy rozwoju terenu niemieckiego: „pierwszy etap to Niemcy bez Austrii i Sudetów — „Rumpfdeutschland", drugi etap — to Niemcy z Austrią i Sudetami — „Grossdeutschland", trzeci etap — „Gesamtdeutschland" — Niemcy ze Śląskiem, Pomorzem i Wielkopolską". Oto styl propagandy hitlerowskiej.

Przez opanowanie ujścia rzeki, następowało nieuchronne opanowanie całego dorzecza rzeki. Czyż i teraz powtórzy się znów odwieczna tragedia Słowian?

IV.

Przerzucając kartki książki Kisielewskiego, coraz ciężej pochylamy głowę ku piersi. Gniecie nas brzemię straszliwe popełnionych przez ojców naszych win, błędów, przeoczeń, niedopatrzeń. Ciężka zmora odpowiedzialności za to, co się już stało, opada nam na barki ciężarem przygniatającym. W uszach złowieszczo szumi skrzyp szubienic, jęk tępionych bez litości naszych pobratymców. Zaprawdę, ziemie na wschód od Łaby, od Odry po Wisłę w ciągu stuleci nie zaznały spokoju. Na krzywdzie słowiańskiej wyrosło dzisiejsze państwo niemieckie.

Obrazem tego, co się działo na tych ziemiach, jest dzisiejsza „Grenzarbeit", która polega na zaszczuciu, zaszachowaniu, zadławieniu do ostatniego tchu, na śmierć tego, co polskie. W tym kierunku działają prawa i administracja niemiecka. Prawo o „obrocie ziemią", wydane w maju r. 1938, postanawia, że wszystkie najdrobniejsze nawet dzierżawy muszą być rejestrowane. Ten przepis ugodził w pół miliona Polaków. Bowiem mniejszość polska w Niemczech to robotnicy i drobni właściciele, którzy muszą dzierżawić ziemię, by wyżyć. „Na osiem tygodni przed żniwami odebrano Polakom dojrzewającą ziemię i oddano Niemcom".

Niemiecka ustawa o zagrodach dziedzicznych „Reicherbhofgesetz" zbiera swoje bogate żniwo na pograniczu. Ustawa ta mówi, że ziemię, którą gospodaruje się źle, można odebrać i przekazać komu innemu. Kiedyż to władza nie może powiedzieć, że gospodaruje się źle ziemią?

„Ja, ja, das ganze Polentum ist verdorben" — tak wzdłuż całego pogranicza twierdzą urzędnicy niemieccy po biurach.

Prawo i urząd, szkoła i Arbeitsdienst prześladują Polaków wzdłuż całego pogranicza.

Autor patrzył na krwawą epopeę walki z polskością, słuchał naocznych świadków, badał, pytał, dochodził prawdy. Oto jego sąd:

„Jeszcze dwa, trzy lata bez pomocy, bez interwencji w Berlinie, a przyjdzie załamanie psychiczne i Kaszubszczyzna po stronie niemieckiej zacznie gwałtownie wymierać. Nie, nie przesada. Piszę te słowa w pełnym poczuciu odpowiedzialności. Wypowiadam je, korny sługa Ojczyzny, w obliczu majestatu mego narodu: *Kaszubi po stronie niemieckiej giną w okropnej męce, w poniewierce,* o której nie można mieć pojęcia, o ile się tego nie widziało. Wszelki humanitaryzm, wszelka ludzkość, wszelki odruch współczucia został porzucony. Dokonuje się tu jedna z najpotworniejszych tortur, jakie zna historia. Wobec nich obozy koncentracyjne są niewinną igraszką. To wszystko dzieje się dwa, trzy, pięć kilometrów od Kościerzyny i Kartuz".

Wstrząsające to słowa.

„Kaszubi po tamtej stronie granicy znajdują się w najtragiczniejszym punkcie swego bytu narodowego. Są przed załamaniem".

Arbeitsdienst planowo i dokładnie przeprowadza

REDAKCJA ZETU

czynna codziennie od g. 14—15-ej, Tel. 8-64 65

ADMINISTRACJA

czynna codziennie od g. 10—16 ej, Tel. 9-12-32 Prenumerata roczna 5 zł, półroczna 2.50. Za granicą roczna 8 zł, półroczna 4 zł. — Nr konta PKO Jerzy Braun Warszawa 153, 210.

W administracji są do nabycia wydawnictwa Biblioteki Zet, oraz dzieła Wrońskiego wydane w języku polskim.

odwieczne pruskie hasło „ausrotten". Nie pozwala się zakładać szkół polskich. Tysiące szykan odstręcza rodziców polskich od posyłania dziecka do takich szkół. Nie pozwala się na małżeństwa między Polakami. Gdy się dwoje młodych uprze, pod pozorem obłędu lub choroby sterylizują jedno z nich.

Na pograniczu panuje odmienny kodeks moralny. Każdy czyn antypolski opiera się o krótkie hasło, o bezlitosną formułkę: *„Gesetz der Grenze ist das Gesetz der Nation"*. Każde barbarzyństwo znajdzie osłonę w tej maksymie. A wiedzieć trzeba, że za pogranicze liczy się pas 150 kilometrowej szerokości. W takim rozumieniu obszarami pogranicza objęte są ziemie podchodzące aż pod Berlin. Wszystko, co słowiańskie na tych ziemiach zginąć musi. A dużo jeszcze słowiańskości na tych ziemiach! Pokaleczone nazwy wiosek i miasteczek, zniekształcone, wykoślawione przez wymowę i pisownię germańską jak wieczysty wyrzut sumienia świadczą o dziejach ludu tych ziem, ludu, który krwawił i krwawi do dziś dnia.

Jakaż musi być wściekłość teutońska, gdy słyszą mowę słowiańską o pięć kilometrów od Berlina — w Spreewaldzie.

Toteż zaczęły się srogie prześladowania Łużyczan. Padł rozkaz: zlikwidować Łużyce. „Zamknęły się szkoły łużyckie, zanikły domy ludowe, stanęły maszyny drukarskie, zapełniły się więzienia; wielu Łużyczan poszło do obozów koncentracyjnych, z których nie wyszli po dziś".

Łużyczan jest w Niemczech 200.000.

Autor powiada: „na słowo Łużyce powinien bić apel, powinna padać komenda „baczność".

„Baczność. Prezentuj broń. Łużyce, lud, który za Chrobrego żył w granicach Polski, rozpoczął agonię".

Czy wiemy o tym, że wzdłuż naszej granicy zachodniej wytworzona została linia Maginota, jak na granicy francuskiej?

V.

Niemcy szermują zarzutem nieproduktywności rasy słowiańskiej. Twierdzą oni, że wszelką inspirację twórczą wniosły do plemion słowiańskich najazdy germańskie. Z tych najezdniczych gromad germańskich powstała górna warstwa ludności w Czechach, Polsce, Rosji, która zakładała państwa i wytyczała postęp cywilizacyjny.

Autor rozprawia się rzeczowo z tymi argumentami. Najnowsze zdobycze prehistorii mówią wręcz co innego. W czasach gdy Germanin był koczownikiem i łupieżcą, Słowianin siedział już dawno na roli, był rolnikiem. Dziedziczył piękną i jednolitą kulturę łużycką. Miał zamiłowanie do spokoju, był szczerze przywiązany do ziemi. Odznaczał się tolerancją i gościnnością. Ideałem jego był — ideał potęgi duchowej i twórczej pracy.

Ten ideał twórczej pracy ducha kruszył się i załamywał pod brutalnym naporem najeźdzcy germańskiego. Słowianin zmuszony okolicznościami chwytał za broń, lecz jako mniej wprawiony w okrutne rzemiosło ulegał najazdowi, bronił się zaciekle i ginął, ginął wtedy, gdy bronił swych bogów pogańskich, ginął i wtedy, gdy przyjmował chrześcijaństwo. „Bo przecież nie godzi się po prostu pominąć milczeniem takiego faktu: Krzyżacy wyrzynali Żmudzinów, którzy oświadczali, że są już chrześcijanami, ścinali im głowy, z drwiną wołając: „a więc ja cię bierzmuję mieczem" (ego te confirmo cum glaudio)".

Taka oto jest prawda rozrachunku między kulturą polską a niemiecką.

VI.

Jakież wnioski wysnuć ma czytelnik polski z tak dojmującej lektury, jaką stanowią udokumentowane karty książki „Ziemia gromadzi prochy"?

Wnioski następujące: Nie wolno lekceważyć odwiecznego parcia Niemców na Wschód: *„Drang nach Osten" był zawsze wyraźny, ale nigdy nie był tak precyzyjnie działającą maszyną jak obecnie"* — (podkreślenie moje) — mówi autor. „Drang nach Osten" wbrew mniemaniom polityków jest jedną z najsilniej działających sprężyn dynamiki germańskiej. Parcie to dokonywa się wbrew pozorom, nieustannie, nieuchronnie, nieodwołalnie.

Wniosek drugi jest taki: W Niemczech dąży się systematycznie do wytępienia wszystkiego, co polskie, co słowiańskie. „Całe pogranicze, mimo wszystkich przyjaźni, paktów i deklaracyj, skazane zostało wolą władz niemieckich na zagładę. Na zagładę szybką. W przeciągu kilku lat".

Wniosek następny: W stosunku do mniejszości polskiej w Niemczech nie ma zastosowania żadne prawo, żaden skrupuł etyczny; racja bowiem narodu, rasy i rzekomej wyższości kulturalnej usprawiedliwia wszystko. „Bowiem postawą rodzącej się w Niemczech moralności są nie żadne przesłanki metafizyczne, nie racje ogólnoludzkie, podstawą jest racja narodu utożsamionego z państwem. Myśl, która przeświecała przez całą historię Niemiec, została nareszcie w sposób bardzo cyniczny wyniesiona do stanowiska zasady obowiązującej".

Takie są wnioski. Taka jest słynna nietzscheańska teza „Wille zur Macht", „wola mocy", którą zachłystują się nasi humanitaryści, nasi podziwiacze Nietzschego (np. Hulka - Laskowski).

Nie można czytać spokojnie książki Kisielewskiego, ale tym bardziej czytać ją należy w spokoju.

Autor, który na przestrzeni 500 niemal stron gromadził cierpliwie fakty, dokumenty, świadectwa ludzi wiarogodnych, który, jak sam zapewnia, opracowując książkę chciał być daleki od wszelkiego szowinizmu, od wszelkiej demagogii, nie stosował chwytów epatujących czytelnika, nie rozdmuchiwał szczegółów do rozmiarów olbrzymich, nie chciał wywoływać nastroju. Chciał być chłodny i rzeczowy. I taki był w ciągu całej swej pracy.

Mimo to, a może właśnie dlatego, obraz, jaki wyłania się z kart książki Kisielewskiego jest przerażająco plastyczny, wstrząsa do głębi.

To my, my sami, dusza naszej duszy, bierze udział w tym gigantycznym rapsodzie walk słowiańsko-germańskich, w tej krwawej epopei dziejów, w której ginęły ludy słowiańskie, jak dęby rąbane toporem teutońskim. To my, my sami dawaliśmy w ciągu wieków odpór mieczom i strzałom germańskim.

Tak rodzi się patos dramatu, patos akcji, której kresu jeszcze nie widzimy. Ciągle jeszcze trwamy w ogniu i obstrzale germańskiej furii napadu, podstępu i grabieży.

Ziemia, która była słowiańską, żywi najeźdźców jak synów własnych, zniewolone kobiety sło-

wiańskie rodzą synów, którzy godzą w pierś słowiańską, czyż to nie tragedia?

Bo tak jest. Mówi autor: „Każdy Niemiec w tych stronach (tj. na pograniczu) chciałby mieć Polkę za żonę. Bo Niemcy łaskawym okiem patrzą na mieszane małżeństwa... Wiedzą, że w takim małżeństwie przyjdzie zawsze zniemczenie. A poza tym, że wyjdzie z niego dużo dzieci, tęgich dzieci".

VII.

A my? Cóż my? Jak zachowujemy się wobec Niemców w Polsce?

Przedstawi to następujące porównanie: Polaków w Niemczech jest półtora miliona, Niemców w Polsce — 700 tysięcy. Polacy w Niemczech mają 58 szkół powszechnych, Niemcy w Polsce — 432, Polacy — 2 gimnazja, Niemcy — 27, Polacy — 34 spółdzielni, Niemcy — 856, Polacy — 14 czasopism, Niemcy — 78.

Cyfry te biją na alarm. Oto słowiańska „miękkość", tak pogardzana przez butnych Krzyżaków, oto nasza sławna tolerancja, która nam na szkodę wychodzi; bo przecież do faktów powyższych trzeba i to dodać, że na ziemiach polskich, w obrębie granic Rzeczypospolitej, Niemcy prowadzą... propagandę za niemieckością, zwabiając Polaków do swych spółdzielni, dając im wzamian za wyrzeczenie się polskości liczne ekwiwalenty. To samo dzieje się na terenie szkół niemieckich. Ogłupieni i znęceni Polacy posyłają tam własne, polskie dzieci.

O tych sprawach głośno już pisze prasa codzienna.

Jak długo trwać będzie zaślepienie nasze?

Dziś, gdy zaczęła się agonia Łużyczan, gdy ugięły się Czechy pod naporem germańskim, gdy ostatni dech życia łapią Kaszubi za granicą zachodnią Polski, mamyż nadal trwać bierni i otępiali w obliczu naporu germańskiego?

Nie czynią dobrze dla Ojczyzny ci, którzy negują zagadnienie niemieckie na zachodnich granicach Polski.

Ileż bolesnych uwag wypowiedział autor pod adresem naszych władz na Pomorzu. Należało by zażądać, by każdy urzędnik na Pomorzu, Śląsku i w Wielkopolsce, każdy starosta, a tak, każdy starosta! przeczytał książkę Kisielewskiego. Opinia publiczna w Polsce winna domagać się, by znawstwo problemu niemieckiego na zachodzie było zasadniczą podstawą przyjęcia do służby urzędniczej w tych dzielnicach. Czas najwyższy ocknąć się z błogiego stanu otumanienia co do „małej wagi" tych zagadnień.

Czy pozwolimy sobie odebrać ujście Wisły? Oto groźne memento, przestroga i wyrzut.

„Ziemia gromadzi prochy" to książka napisana z pietyzmem dla spraw Słowiańszczyzny. To hołd oddany cieniom praojców, co snują się nad nieszczęsną ziemią rodzinną, wziętą w kleszcze i obcęgi germańskiej żądzy władzy i panowania.

Kiedyż nareszcie z tych prochów narodzi się życie nowe, twórcze i wspaniałe?

Kiedyż nareszcie duch słowiański przemoże furię teutońską, Lig pokona tura?

Czyż kiedyś nadejdzie ten czas?

Z książki Kisielewskiego przebija wiara w przyszłe wyzwolenie i tryumf Słowian, wiara w „epokę Słowian", wzniosłą i potężną ideę „pax Slavica",

Skąd ta wiara?

Oto niemieckie wydawnictwa krzyczą przerażone. W roku 1980 ludność Polski dosięgnie ludności Wielkich Niemiec. Słowianie liczebnie przewyższą Germanów więcej niż dwa razy.

W odwieczny konflikt słowiańsko - germański wdają się obecnie czynniki biologiczne. A te czynniki są po naszej stronie...

Przepiękne graficzne opracowanie książki działa na wyobraźnię czytelnika, podkreślając wyraźnie momenty i punkty, o które autorowi szczególniej chodzi.

Obok książki „Na tropach Smętka", książka Kisielewskiego staje godnie na półkach bibliotek polskich, by jak krwawiąca i niegojąca się rana, przypominać nam o naszych obowiązkach na kresach i granicach niemieckich.

„Ziemia gromadzi prochy" — w patosie tych słów leży wielkość i tragedia Słowian.

Że taka książka ukazała się, świadczy to dobrze o współczesnym pisarskim pokoleniu polskim.

Antoni Madej.

Naród na bezdrożach

Wśród emigracji rosyjskiej — a mamy na myśli ten jej odłam aktywny, który, choć niepomiernie szczuplejszy od wielkiej masy, jeden tylko decyduje o duchowym obliczu całości — nastroje patriotyczne do białości są rozpalone. Ogromnie przeważa w dalszym ciągu orientacja typu wranglowsko - denikinowskiego. Jedynym właściwym, wielkim celem pozostaje Rosja jedna, niepodzielna. Jeżeli się mówi na przykład o Ukrainie, trzeba to traktować raczej jako manewr taktyczny: Ukraina ma posłużyć za odskocznię do opanowania wielkorosyjskich centrów władzy, po czym, prędzej czy później, rola jej zostanie uznana za skończoną. Również aluzje o ewentualnej współpracy z Polską czy krajami wschodnio - bałtyckimi świadczą raczej o poczuciu słabości; w umyśle swych wyrazicieli takie koncepcje najczęściej stanowią tylko malum necessarium, narzędzie dziś nieuniknione, lecz które trzeba będzie możliwie najrychlej odrzucić.

Z pewnym więc zdziwieniem czytaliśmy ostatnio głosy rosyjskiej prasy emigracyjnej — głosy, głównie z Londynu nadchodzące — które wcale zdecydowanie odbiegają od powyższego schematu. Mowa tam o szczerej, rzetelnej współpracy przyszłej Rosji z Polską. „Od Polski oczekujemy wielkich rzeczy; bez niej słowiańszczyzna nie da sobie rady". Ba, czytaliśmy nawet aktualną trawestację znanego wiersza Puszkina: oto strumyki słowiańskie mają zlać się w polskim morzu!...

Jako mesjaniści, całkowicie podzielamy pogląd, że słowiańszczyzna nie spełni swego zadania, jeżeli wewnętrznie nie skoordynuje swych członów. Nie może tu być mowy o jakimś stopieniu w jedno wszechsłowiańskie państwo; każdy naród słowiański musi tylko wydobyć ze siebie maximum i optimum swej twórczości i dołączyć ją do wspólnego dzieła. Nie z żadnej megalomanii bynajmniej, lecz z najtrzeźwiejszej oceny rzeczywistości, wyni-

ka, że ogólną myśl kierowniczą owemu wspólnemu dziełu dać powinna i może tylko Polska ze swą filozofią absolutną. — Było by wielkim szczęściem, gdyby inne narody słowiańskie zechciały to zrozumieć z uczciwością i prawością, bez zgoła tu niepotrzebnego uczucia niższości czy upośledzenia. Wspomniane głosy rosyjskie zdają się iść w tym kierunku. Ale — czy są one szczere? Czy to nie jest znowu tylko taktyka?

Bądź co bądź, myśli tego rodzaju istotnie żyją w duszach rosyjskich — jeżeli nie u zawodowych polityków, to u artystów, tych „nierychliwych ale sprawiedliwych" wyrazicieli głębszej psychiki narodu. Pod tym względem wybitnie symptomatyczna jest bardzo piękna powieść emigranta rosyjskiego, niedawno zmarłego E. Kielczewskiego pt. „Posle uragana" (= po przejściu orkanu). Mamy w niej dużo ciekawych, rozumnych analiz. Autor mówi o duszy rosyjskiej ze znawstwem, goryczą, ale i mądrą miłością. Mówi też o Zachodzie, o katolicyzmie. Sądzimy, że nie bez pożytku będzie przytoczyć w przekładzie niektóre ustępy.

Gdy chodzi o naprawę, o leczenie, rzeczą wagi pierwszorzędnej jest słuszna diagnoza — choćby najsurowsza, ale prawdziwa. Oto twarde słowa, jakie Kielczewski rzuca swemu narodowi: —

„Jesteśmy jedynym w świecie narodem, który nie szanuje ani siebie, ani bliźnich; więc nie dziw, że równi patrzyli na nas zawsze z góry, a podwładni nas nienawidzili...

Nie, potrzeba nam nie wolności słowa, jeno wolności prawdy... Mów i pisz co chcesz, byle tylko prawdę, albo to, co za prawdę uważasz...

I za cóż miałbym kochać tę naszą ojczyznę?... Ludzie? Lud? — lichy lud. Zawsze leżący na brzuchu przed silnym, czy to będą Tatarzy, czy zbiry Groźnego, uriadnik, komisarz, czy pierwszy lepszy Wańka - koniokrad, trzymający w ręku całą wieś. A za to wobec słabych — pełen fantazji: dręczy i gwałci dziecko, kopie w brzuch ciężarną kobietę, znęca się nad bydlęciem, przepija dobytek rodziny... I wciąż Bóg! „Jak Bóg da", „Jak się Bogu podoba...". Myślałby kto: co za religijność! Co by miał pokręcić własnym rozumem, to nie, wszystko na Boga. Licho kazało Dostojewskiemu powiedzieć, że Rosjanin „szuka Boga" i że to ponoć stanowi jego wysokie powołanie. Dlatego właśnie szuka, że na sobie nie polega, że sobie nie ufa. „Nie dawaj mi — powiada — bo przepiję"; albo: „diabeł mię pokusił". Niemca ani Anglika diabeł nie skusi; wiedzą oni, co zrobią, czego nie zrobią, kogo miłują, czego pragną — i Bogu się po próżnicy nie naprzykrzają.

A mówię nie tylko o chłopie naszym. Wszyscy u nas są tacy sami. Żadna w świecie kobieta nie miała tyle pretensji, co nasza: i porywy, i załamania, i nikt jej nie rozumie, i jest ona ofiarą, i wszystkim chciałaby być: adwokatem, profesorem, doktorem praw, tylko nie matką! Matką być nie chce i nie umie.

My, Rosjanie, przyjmujemy oszustwo jako zło nieuniknione i traktujemy je z dobrodusznością lub wzgardliwą obojętnością. Francuzi widzą w oszustwie zjawisko normalne, które należy regulować za pomocą grzecznej kontroli. Anglicy, Niemcy, Amerykanie i inni — mają je za rzecz niedopuszczalną...".

*

Jeszcze krytyczniej zapatruje się bohater powieści, czyli alter - ego Kielczewskiego, na psychikę swego narodu w poniższych ustępach: —

„Siedzę w swojej kajucie na rosyjskim okręcie... Kapitan i jego pomocnicy ani z twarzy, ani ze stroju nie przypominają eleganckich marynarzy towarzystw zagranicznych. Ich oblicza są chmurne i nieżyczliwe. Ale co jest naprawdę bezkonkurencyjne, to twarze majtków i służby. W lada porcie cudzoziemskim spotyka się mnóstwo włóczęgów o zgoła nieponętnym wyglądzie, lecz rysy każdego z nich mają mniej lub więcej określone piętno, odpowiadające jego zatrudnieniu czy charakterowi. Tu zaś typ wymyka się wszelkiej definicji, pod jakąś mętną grą zmiennych wyrazów. Usta i oczy są w ustawicznej ruchawce, brwi także,. Takie twarze miewają ludzie, gdy się w ich sumieniu naruszy równowaga pomiędzy dobrem a złem, prawem a swawolą. Gdy taki człowiek się zbliża, nie sposób przewidzieć: czy cię chwyci za gardło, czy pocałuje w rękę, czy wsadzi nóż w plecy.

...Straciłem połowę wiary w swój naród i jego przyszłość. Taki, jak obecnie, naród rosyjski nie jest godzien przyszłości. Co go może odrodzić? Czyż na prawdę cała jego wielka przeszłość była tylko dziełem kilku dzielnych i śmiałych jednostek, jak Piotr i „pisklęta Piotrowego gniazda" *), które, drobniejąc i marniejąc, dotrwały aż do lat ostatnich? Czy nie państwo dzielnych Waregów, założone na tej dzikiej pustyni ludzkiej, było Rosją? Zbrakło Waregów — nie ma więc i Rosji. Luzując Waregów, przyszło inne obce i drapieżne plemię, być może przyjdą jeszcze liczne dalsze plemiona i stworzą na tej ziemi państwo czy państwa; ale to nie będzie ta Rosja, którą kochałem i z której byłem dumny.

Waregowie się wyradzali, a nasi właśni mędrcy, pozbawieni woli i siły, od połowy zeszłego wieku kajali się za swą wyższość duchową nad ludem i kornie szukali u niego mądrości, zamiast mądrze nim pokierować.

Czy znaleźli tę mądrość ludową? Zamiast niej znaleźli hańbę. Lecz i w tej hańbie będą się oni dopatrywać klejnotów mądrości, lub skończą na tym, że samąż hańbę uznają za mądrość. A może przywołają nowych Waregów?...

Moje poczucie narodowe przeistacza się w gorycz. Ale choćbym nie wiedzieć jak naocznie widział wyższość innych ludów nad moim, muszę pozostać Rosjaninem; choćby mi się nie wiedzieć jak podobały inne kraje, żadnego z nich nie nazwę swoją drugą ojczyzną".

W związku z powyższym przypomina się chociażby postać hrabiego Piotra Biezuchowa z „Wojny i pokoju" Tołstoja: nie mógł on znaleźć spokoju i mądrości nigdzie, znalazł je dopiero u prostego żołnierzyka - chłopa, który nigdy sam sobie nie zdawał sprawy z tego, co przed chwilą powiedział...

Kielczewski zapatruje się z bolesną ironią na wieczną rewolucyjność rosyjską, bardzo niejasno uświadamiającą sobie własne cele, a zwłaszcza następstwa swych poczynań: —

„Chińczycy — to lud sympatyczny i uczciwy, ale dzisiaj najzupełniej barbarzyński. Faktycznie rządzą Chinami cudzoziemcy, przy czym Anglicy i Amerykanie traktują tubylców jak Murzynów. Gdyby natomiast do Ameryki lub Chin przybyli rosyjscy inteligenci, toby wnet urządzili przeciw sobie samym rewolucję. Murzyni zaś i Chińczycy, otrzymawszy władzę i wszelkiego rodzaju wolności, wyrznęliby niezwłocznie swych wyzwolicieli, następnie zaczęliby wyrzynać się na wzajem i zrujnowaliby własny kraj. Niedobitki naszych inteligentów wyjechałyby do bezpiecznego miejsca i w poczuciu spełnionego obowiązku wygłaszałyby odczyty o zdobyczach wznieconej przez się rewolucji, uroczyście obchodząc jej rocznicę".

*

Autor zdaje się w pełni doceniać dodatnie strony pol-

---

*) *Sii ptiency gniezda Pietrowa* — z wiersza Puszkina. Przyp. Cz. J. - K.

skości, choć nie zamyka oczu również na nasze przywary narodowe: —

„Tylko we Włoszech, Rosji i Polsce spotyka się ludzi o tak subtelnej kulturze, że sztuki piękne stanowią dla nich nie tylko ozdobę życia, lecz jego składnik istotny; ludzi, których umysłu i charakteru jakby dotknęło skrzydło wielkich autorów wszystkich czasów i wszystkich narodów, zostawiając nieuchwytne znamię na ich upodobaniach i przyzwyczajeniach. Tylko tacy ludzie mają zrozumienie dla najprzedniejszego humoru i bolesne odczucie lichoty. Ich nerwy, wysubtelnione postrzeganiem odcieni w sztuce, są wyjątkowo czujne. Stąd ta wytworna delikatność w obcowaniu z innymi, organicznie niedostępna dla pospólstwa...

My, Rosjanie, pokutujemy właśnie za swe tchórzostwo. Nasi „burżuje“ od razu zawrzeszczeli: gwałtu! rżną nas! i rzucili się w rozsypkę, porzucając żony, dzieci i mienie i nie próbując nawet się bronić przed dziesięciokrotnie słabszym przeciwnikiem. Nasi zachodni sąsiedzi poszli drogą forteli i kompromisów, co również ich kosztuje, choć przecież nie tak drogo jak nas. Kto pierwszy przetrze sobie oczy i zagada z komunistami w najzrozumialszym dla nich języku?...“.

Szczególnie doniosły jest ustęp, w którym autor mówi o braku silnego autorytetu religijnego w Rosji. Cezaropapizm dźwiga w sobie samym zarodek rozkładu. Bardzo boleśnie czuł to szlachetny myśliciel rosyjski Włodzimierz Sołowiew — całe życie dręczył się tym, nie chcąc jednak sobie tego uprzytomnić wyraźnie, Dostojewski; tęsknotę za takim autorytetem, jaki mamy w katolicyzmie, dostrzegamy dziś u Mereżkowskiego, piszącego wielkie dzieło o świętym Franciszku z Asyżu, u Bierdiajewa i innych współczesnych filozofów religijnych rosyjskich.

A oto słowa Kielczewskiego: —

„Wolnym krokiem, w białych szatach, z wielkim na piersiach krzyżem szmaragdowym, wszedł na salę Papież Benedykt XV. W postaci jego nie było wielkości; zdawał się nie stary jeszcze, był szczupły i drobnego wzrostu, lecz chorobliwa bladość twarzy i uważne spojrzenie rozumnych siwych oczu w oprawie złotych okularów nadawały mu wyraz jeśli nie świętości, to najwyższej dobroci i łagodnej władzy.

Może byłem pod wpływem panującego we mnie nastroju, lecz na widok Papieża ogarnęło mię głębokie wzruszenie. Gdym ukląkłszy dotknął ustami wyciągniętej ku mnie białej bezkrwistej ręki, zechciało mi się wziąć ją, przycisnąć do czoła i długo w milczeniu spowiadać się ze swych grzechów i wątpliwości. Kiedy Papież, udzieliwszy swym gościom błogosławieństwa, wyszedł z sali, głęboko westchnąłem i ze smutkiem poszedłem za ciżbą.

I rzecz dziwna: ta audiencja sprawiła mi znaczną ulgę. Zetknąłem się na chwilę z jakimś wysokim autorytetem moralnym — z tym, czego mi brakło przez całe życie... Chociażby ten autorytet nie miał ze mną żadnej styczności, wystarcza mi świadomość jego istnienia.

Podobno Papież cierpi na nieuleczalną chorobę. Głęboko mi go żal, jako człowieka, stanowiącego widzialną ucieczkę dla miliona serc ludzkich, a nad sobą mającego jedną tylko ucieczkę: Niewidzialnego Boga“.

*

Rosja sama nie da sobie rady — czuje autor; — konieczna jest koordynacja odrębnych działań słowiańskich przez wspólny cel: —

„Przy dużym stole koło okien siedzą Polacy — trzech mężczyzn w nieokreślonym wieku i jedna starsza pani. Wszyscy są ubrani bez zarzutu, wszyscy mają dumne, rasowe rysy i wyniosłe maniery.

Powiadają, że Polacy są Francuzami północy, główne podobieństwo polega na tym, że każdy Francuz i każdy Polak jest zakochany w sobie: pierwszy — miłością szczęśliwą i spokojną, drugi — miłością zazdrosną i pełną dręczących zwątpień. Obaj lubią mówić o swych zaletach, lecz pierwszy czyni to z rozbrajającą dobrodusznością, nie przypuszczając u swego rozmówcy ani cienia wątpliwości, drugi — z rozdrażnieniem, z góry już urażony możliwą nieufnością czy ironią.

Lubię Francuzów i nic nie mam przeciw Polakom, ale w tych drugich rad bym widzieć więcej szlachetnej prostoty, tak właściwej dawnej arystokratycznej Polsce.

Zjednoczenie Słowian — to nieodzowny etap na drodze Historii... Dodajcie do naszej rosyjskiej natury polskiego patriotyzmu, czeskiej pracowitości, zaprawcie to gorącą krwią południowo - słowiańską, a zobaczycie, co z tego wyniknie. Zdawałoby się, żeśmy mogli już dawniej coś niecoś od nich zapożyczyć — na przykład od Polski; ale same formy naszych ówczesnych stosunków wyłączały tę możliwość; to, co powinno było nas łączyć, rozdzieliło nas właśnie“.

*

W swym liście do księcia Adama Czartoryskiego przepowiada Wroński, że długi i groźny okres wrzenia rewolucyjnego musi się zakończyć *powszechnym uznaniem Boga*. Boga nie tego, który tylko w niedzielę przebywa chwilowo w świątyniach, ale Boga wiekuistej Prawdy, Dobra, Boga tożsamego z Absolutną Mądrością.

W pewnym stopniu przeczuwa to i nasz autor: —

„Nie podobna dojść do większego upadku, niż dzisiejsza Rosja, ale to właśnie stanowi rękojmię wiary w jej przyszłość.

Zburzywszy swe kościoły i zamordowawszy króla, Francja tańczyła i śpiewała piosenki; uczyniwszy to samo, Rosja gnuśnieje w zezwierzęceniu i ogłupieniu, i woli raczej ponieść destrukcję aż za swe rubieże, niźli wkroczyć na drogę trzeźwego budowania. Mówię o ludzie rosyjskim, nie zaś o tych, co żerują na jego rozkładzie, Człowiek, który popełni zbrodnię i rozsądnie używa łupu, jest beznadziejnie stracony; człowiek, padający po zbrodni jeszcze niżej, jest na włosek od skruchy i odrodzenia.

Właściwością Rosjanina jest, że nie zdoła on żyć, nie znając prawdy. Innymi słowy nie może on żyć bez Boga, który dlań stanowi wcielenie i źródło prawdy. I to nie tylko chłop, ale każdy z nas, i ja i ty... Może on żyć w sprzeczności ze swą prawdą, lecz urządzić swe życie poza nią, poza swym Bogiem — tego nie potrafi...

Nie jestem mistykiem; nieszczególny ze mnie, być może chrześcijanin, ale i rozum i serce mi mówią, że szlak do odrodzenia Rosji wiedzie przez Boga“.

Cz. Jastrzębiec - Kozłowski.

Z kraju i ze świata

Habemus Papam

Zgon Piusa XI, papieża Akcji Katolickiej, nastąpił w chwili przełomowej dla pokoju świata, gdy Włochy i Niemcy przeprowadzały już częściową mobilizację, a mocarstwa demokratyczne, przerażone upadkiem czerwonej Katalonii, sięgnęły po ostatni atut: deklarację antyfaszystowską Stanów Zjednoczonych. Widocznym było, że Mussolini powstrzymuje się z dalszą akcją aż do wyniku conclave; stanowisko Kościoła, z którym Italia faszystowska związana jest wszystkimi fibrami, decyduje wszak w dużej mierze o losach rozgrywki włosko - francuskiej. Walka doktrynalna Kościoła z faszyzmem mogłaby sparaliżować i rozdwoić wewnętrznie naród włoski w przededniu wojny.

Nowy papież, Eugeniusz Pacelli, przybrał imię Piusa XII, czym stwierdził niejako, że ma zamiar kontynuować dzieło duchowe poprzednika i jego kurs polityczny. Wielki ten dyplomata, powołany do Watykanu swego czasu przez kard. Gaspari'ego i wtajemniczony najgłębiej w plany Piusa XI, będzie niewątpliwie papieżem politycznym, powołanym do rozcięcia subtelnych węzłów gordyjskich naszej epoki. W przededniu olbrzymiego starcia ma on wskazać całemu światu chrześcijańskiemu, *gdzie jest prawda*, i wytyczyć mu drogę dalszego rozwoju. Straszna to i wzniosła odpowiedzialność przed Bogiem. Zapowiedź zwołania nowego soboru powszechnego, świadczy, że nowy papież zdaje sobie z tego sprawę.

Ludzkość postawiona jest między Chrystusem a Antychrystem. Najważniejszym problemem jest tedy dla niej *wyraźne przeprowadzenie granicy między prawdą a fałszem, między złem a dobrem*. Najgroźniejszym niebezpieczeństwem jest dziś mieszanie się rysów twarzy Chrystusa z rysami twarzy Antychrysta. Oby Bóg i nowy papież ocalił nas przed tą okropną pułapką.

Totalizm i rasizm prowadzi na bezdroża, słusznie tedy Kościół ostrzega przed nimi. Ale jeszcze gorszym jest spisek tajemny Antykościoła, przypieczętowany uściskiem braterskim Roosevelta i Stalina. Radość sfer liberalno-demokratycznych całego świata z wyboru kard. Pacellego świadczy, że nie jest on przychylny ich przeciwnikom. Sądzimy jednak, że nowy Ojciec Święty zawiedzie również i ich nadzieje.

Kryterium i drogowskazem prawdy jest dzisiaj duch katolickiej Polski. Pomiędzy rasizmem a demokracją masońską, pomiędzy faszyzmem a komunizmem znajduje ona drogę własną i prostą, drogę nacjonalizmu chrześcijańskiego, wierzącego w misje dziejowe powierzone narodom przez Boga. Oto ucho igielne, przez które przejść ma zbłąkana ludzkość współczesna. Oto „Gwiazda Morza" dana Kościołowi, przedzierającemu się pomiędzy Scyllą a Charybdą sprzecznych idei. Tędy zresztą kieruje Stolicę Apostolską również nieomylna busola prawd objawionych.

Gdzie jest racja stanu?

Po znanych zajściach gdańskich i mocnej reakcji polskiej młodzieży, szef Ozonu gen. Skwarczyński wygłosił w Sejmie gwałtowną mowę, w której postawił ciężkie zarzuty opozycji i imputował młodzieży działanie pod wpływem obcych agentur. Nie jest naszą rzeczą występować tu w roli adwokata opozycji. Niech ona sama się broni. Ale wystąpienia młodzieży były — naszem zdaniem — nie tak szkodliwe i zarzut gen. Skwarczyńskiego krzywdzi ją w w jej uczuciach patriotycznych.

Ozon nie ma monopolu na miłość Ojczyzny ani patentu na rację stanu. Przeciwnie, może nieraz oceniać ją fałszywie. Incydent gdański należy rozpatrywać pod szerszym aspektem, nie tylko pod kątem wizyty min. Ciano. Nic nie szkodzi, że Ciano dostrzegł w Polsce dużą rezerwę w stosunku do Berlina. Może to skłonić Mussoliniego do wywarcia nacisku na Niemcy w kierunku szerszego uwzględniania polskich interesów mocarstwowych.

Gdańsk jest kamieniem probierczym stosunków polsko - niemieckich. Niedawno pisał jeden z hitlerowskich organów w Gdańsku, że pakt nieagresji z Polską pozwolił Niemcom wyjść z izolacji i wzmocnić się niebywale (Saara, Austria, Sudety). Jeżeli tedy Niemcy — wzamian za to — nie chcą czy nie umieją zagwarantować nam naszych interesów nawet na drobnym odcinku gdańskim, to dowód, że nie możemy od nich oczekiwać lojalności w żadnej sprawie i współpraca z nimi nic nam nie da.

Nie znaczy to, by Polska miała się wiązać z ich przeciwnikami. Powinna jednak dążyć wszelkimi siłami do stworzenia własnego systemu politycznego w Europie Środkowej, jako bazy, zapewniającej pełną samodzielność i swobodę ruchów.

Z prawdziwym zadowoleniem obserwujemy też ostatnie oznaki zwiększonej aktywności naszego MSZ na tym terenie.

Hiszpania Restituta?

Ostatni akt dramatu. Słońce zwycięstwa wschodzi już dla Hiszpanii narodowej. Uznanie rządu gen. Franco przez Francję i Anglię było wielkim jego triumfem a kompromitującą porażką prestiżu i całej polityki mocarstw demokratycznych. Zdobyły się one na ten krok, by wyrugować z Hiszpanii wpływy Mussoliniego i Hitlera. Nie doczekały się jednak — jak dotąd — żadnych ustępstw.

Uznanie de iure niezmiernie wzmocniło pozycję gen. Franco. Zwycięski pucz wojskowy w Madrycie, będący wstępem do nawiązania rokowań, jest widomym tego dowodem. Kapitulacja republikanów da mu w ręce jeszcze mocniejsze atuty.

W obecnej chwili Hiszpania jest kluczem sytuacji politycznej na Zachodzie. Od jej stanowiska zależy, czy Mussolini rozpocznie atak frontowy, czy przejdzie do polityki ugodowej. Rozprawa wojenna z Francją jest bowiem możliwa tylko wówczas, gdy Mussolini będzie mógł ją zaszachować od strony Pirenejów. Ponieważ zaś konflikt francusko - włoski, recte śródziemnomorski, ciąży teraz nad całą konfiguracją światową, od Hiszpanii zależy dziś „być albo nie być" Zachodu: wojna czy pokój?

Gra toczy się na skalę olbrzymią. Po ofensywie dyplomatycznej Włoch i Niemiec przyszła gwałtowna kontrofensywa bloku państw demokratycznych. Echem jej powodzenia są przesunięcia sił na terenie Europy Środkowej, dzięki którym Polska ma szanse odegrania się po dotkliwych porażkach roku ubiegłego. Teraz nastąpi zapewne kontratak osi Paryż — Berlin — wzmocnionej sukcesami gen. Franco. Ale to wszystko jest dopiero wstępem do wielkiej próby sił między blokami „głodnych" i „sytych", walczącymi o nowy podział świata. Osiągnie ona kulminacyjny punkt napięcia w połowie r. 1939.

Projekt ordynacji

W obliczu idących rozstrzygnięć Polska osiągnąć musi maksymalną spoistość wewnętrzną i elastyczność w działaniu. Historia egzaminuje nas z naszego rozumu stanu i poczucia odpowiedzialności za los przyszłych pokoleń. Niestety stoimy wciąż na rozdrożu, zaabsorbowani małostkami i niezdecydowani.

Obecny kryzys Europy ma przede wszystkim charakter kryzysu ustrojowego. Odporność i moc zwycięska Polski w tej epoce zależy od tego, w jakiej mierze zdoła się ona wywikłać z orbity tego chaotycznego przesilenia i znaleźć własne rozwiązania ideo - ustrojowe, czyniące ją niewrażliwą na obce sugestie i zaognienia.

Czy Polska ma te jasne wytyczne, swej drogi? W głębszym aspekcie tak. Ale na płytkiej powierzchni jej życia politycznego sytuacja jest wciąż niewykrystalizowana. Rośnie napór partyj z jednej strony a ozonowego, biurokratycznego totalizmu z drugiej strony. Obydwa te upiory współczesności polskiej w równej mierze prowadzą na manowce. Najważniejszą tedy sprawą dnia jest uniknięcie tych niebezpieczeństw. Trzeba ocalić Polskę przed zwichnięciem równowagi ustrojowej zarówno w kierunku sejmowładztwa jak i w kierunku „totalizmu rumuńskiego".

Generalna linia jest oczywista: jest nią postulat idealnej równowagi między bezwzględnym autorytetem zwierzchnika a „prawem prawdy" narodu. W ustroju ideokratycznym na straży tej równowagi stać powinno Ciało Kierownicze. Niestety konstytucja nasza nie przewiduje takiej instytucji; wynikiem tego jest chwiejność ustawiczna naszego ustroju.

Zanim tedy równowaga ta zostanie osiągnięta na platformie nadrzędnej, trzeba wytworzyć ją sposobami możliwymi w ramach obecnej ustawy konstytucyjnej. Sposobem takim jest przywrócenie Sejmowi tej roli, jaką powinien grać w ustroju, t.j. prawa reprezentacji rzeczywistego oblicza politycznego narodu oraz prawa kontroli prac i poczynań rządu.

Orędzie R. P. wyraźnie formułowało ten postulat. Niestety praktyka wyborów administracyjnych zamazała tę linię: dziś mamy nieomal „Sejm niemy", z nieliczną garstką posłów niezależnych. Trzeba czemprędzej zmienić ten niebezpieczny stan rzeczy. Środkiem do tego jest nowa ordynacja wyborcza, do uchwalenia której powołał Prezydent R. P. obecne izby ustawodawcze.

Projekt ordynacji, zreferowany prasie przez pos. Dudzińskiego wydaje się być najbliższym tego ideału równowagi, o którą chodzi. Zapewnia on — przez gwarancję czystości wyborów i przez odpowiednią technikę organizacji — wejście do Sejmu i Senatu przedstawicieli wszystkich pozytywnych prądów społeczno - politycznych, nurtujących w społeczeństwie, przez co umożliwia, z kolei, wyłonienie rządu, mającego za sobą poparcie w najszerszej opinii publicznej.

A tylko taki rząd może dać Polsce to, czego jej dziś najbardziej potrzeba: s i ł ę p r a w d y.

Na odcinku ukraińskim

W kwestii ukraińskiej Polska ma do wyboru — jak już pisaliśmy w n-rze poprzednim — mały i wielki program. Obecnie rząd przeszedł zdecydowanie do realizacji małego programu t.j. do akcji, mającej na celu umocnienie i zwiększenie polskiego stanu posiadania na ziemiach południowo - wschodnich.

Posłowie ukraińscy w Sejmie oburzają się na tę gwałtowną zmianę. A jednak jest ona nieuchronnym następstwem ostatnich wydarzeń a w szczególności wspólnej gry niemiecko - ukraińskiej przeciwko Polsce, przypieczętowanej utworzeniem „Ukrainy Karpackiej". Gdy w Niemczech i na Zachodzie zaroiło się od publikacyj i map, bezceremonialnie wykrawujących całe szmaty naszego terytorium państwowego na rzecz „Wielkiej Ukrainy", Polska musiała odpowiedzieć na to dążeniem do zredukowania rozmiarów kwestii ukraińskiej w swych granicach, przez wybitne poparcie żywiołu polskiego. Można było prowadzić politykę „ukrainofilską" tak długo, dopóki ukraińcy nie zdeklarowali się otwarcie jako odłam antypaństwowy, dążący do oderwania części terytorium. Nie pochwalamy skrajnego przeskoku do polityki ucisku, przeciwnie zalecamy maksimum umiarkowania i sprawiedliwości, ale stwierdzamy realny, faktyczny stan rzeczy.

Byłoby inaczej, gdyby Polska mogła przejść do „wielkiego programu" w sprawie ukraińskiej. Tu jednak wyrastają trudności i komplikacje wprost fantastyczne. Przede wszystkim wpływ agentury niemieckiej stoi na przeszkodzie odprężeniu. Powtóre zbyt wiele sił na Zachodzie macza palce w tym zagadnieniu, w zamiarach wyraźnie antypolskich. Wreszcie — co najważniejsze — wśród samych ukraińców nie ma sił i ludzi, na których Polska mogłaby budować, na daleką metę, jako na fundamencie trwałym swej polityki wschodniej.

Pozostaje tedy jedyne wyjście: budowa samodzielna tej *wielkiej bazy*, na całym obszarze Europy Środkowej. Dopiero po wykonaniu tego etapu pracy możemy przejść do rozwiązania kwestii ukraińskiej w skali „wielkiego programu".

Przegląd prasy

A na czole jej było napisane: „Tajemnica, Babilon wielki, matka wszeteczeństw i obrzydliwości ziemi".

Apokalipsa XVII.

„Ludzie tajemniczy"

Prawdziwym wydarzeniem dnia jest niewątpliwie artykuł Adama Doboszyńskiego w n-rze 11(233) „Prosto z Mostu", p.t. „Konspiracje". Jest to fragment z większej pracy p.t. „Ustrój narodowy". Autor jego wypowiada się zasadniczo przeciwko *konspiracji* sensu stricto, czyli konspiracji „dobrowolnej, stosowanej w warunkach, w których *krycie się nie stanowi konieczności*, jak w wypadku np. spisku, lecz jest formą oganizacyjną obraną świadomie ze względu na wrodzoną ludziom skłonność do otaczania się atmosferą tajemniczości".

„Czy konspiracja ma jakiś związek z etyką?" — pyta autor.

„Rozpatrzmy sprawę na chłopski rozum. Przeciętny człowiek należący do konspiracji jest uwikłany stale w sieci kłamstw. Opowiada żonie, że był na brydżu — a był w loży. Głosi jakiś pogląd jako własny — a kazano mu go głosić. Popierając jakiegoś człowieka twierdzi, że czyni to dla jego zdolności — w rzeczywistości popiera go jako „brata". Kłamstwo jest niewątpliwie grzechem — członek konspiracji zupełnie na ten grzech tępieje. Rychło i ósme przy-

kazanie traci u niego walor, podporządkowuje się zleceniom konspiracji. Szczerość, otwartość, prawdomówność — to cechy prawdziwie męskie, cenione wysoko w ciągu tysiącleci. Co więcej — są to niewątpliwie *cnoty*. Z cnót tych konspirator rezygnuje. Wręcz przeciwnie wytwarza się u niego z biegiem czasu, poprzez ciągłe drobne kłamstewka i wybiegi, obłuda. Każdy konspirator jest obłudnikiem. Nie uważam bynajmniej za przypadkowy zbieg okoliczności faktu, że obłuda uważana jest przez cały świat za typową cechę anglosaską. To nie przypadek. Przecież to społeczeństwa anglosaskie wykształciły nowoczesny system masoński, i u nich doszedł ten system do największej potęgi. Anglik — z warstw wykształconych — od dwustu lat żyje w konspiracji. To niewątpliwie — obok purytanizmu — źródło jego obłudy.

A więc *konspiracja jest źródłem stałych potknięć przeciw prawdzie*. Niejeden zauważy, że to raczej grzeszki niż grzechy. Możliwe. Ale konspiracja ma drugą, znacznie poważniejszą wadę, Wytwarza mroki, w których mogą się lęgnąć już nie tylko grzechy, ale nawet zbrodnie. Jeśli uprzejmy gospodarz zostawi obok sali balowej kilka gościnnych pokoi otwartych, lecz nieoświetlonych, skutki nie dadzą na siebie czekać. Konspiracja stwarza sposobność do korzystania z mroku i człowiek nie byłby człowiekiem, gdyby się nie rzucał na taką okazję. Konspiracja staje się w tych warunkach pułapką na słabe charaktery. Niejeden grzech, niejedna zbrodnia, które w świetle dziennym nie byłyby doszły do skutku, dojrzewają w mroku...

Ale konspiracja jest przede wszystkim czymś jeszcze innym. Jest *namiętnością*. Tragicy greccy, i ich naśladowcy w późniejszych wiekach, wprowadzili do literatury pewną ilość zasadniczych namiętności ludzkich: miłość, zazdrość, chciwość, fanatyzm polityczny i religijny, mściwość, ambicję, potrzebę poświęcenia się dla innych i sadyzm, hedonizm i ascetyzm, żądzę sławy i żądzę krwi. Wprowadzili również na deski teatru typ konspiratora, który przychodzi w masce na zebranie spiskowców i rzuca losy o to, czyj sztylet zgładzi tyrana. Banalny to typ, którego wstydzi się szanujący się autor współczesny. *Ale typ konspiratora nowoczesnego, konspirującego z namiętności do tajnego działania*, czeka jeszcze na swego Szekspira...

Pociąg do konspiracji stanowi niewątpliwie jedną z zasadniczych namiętności człowieka. Wchodzącego w życie chłopca czekają różne silne emocje: pierwszy papieros, pierwszy kieliszek, pierwszy pocałunek, pierwsza mowa — ale i pierwsze zebranie konspiracyjne. Spróbuj, czytelniku, zebrać kilkunastu jałowych „szarych ludzi" i nakłonić ich by się schodzili raz czy dwa razy w miesiącu i pletli trzy po trzy. Przyjdą raz i drugi, ale rychło im się to znudzi. Zrób żywcem to samo, ale zwiąż ich węzłem konspiracji, przysięgą i tajemnicą, Będą ci przychodzili latami całymi, i będziesz mógł obserwować zachodzące w nich przemiany. Konspiracja stanie się nieodzowną koniecznością ich życia, jak opium czy morfina, jak dobrze dopasowana kobieta, jak tytoń dla palacza, jak wódka dla alkoholika. Główny trzon konspiratorów stanowią niewątpliwie ci, którzy w ten sposób dają folgę wrodzonej im namiętności do konspirowania. Jest wśród nich wielu takich, którzy by się tej namiętności oparli, gdyby im kto wytłumaczył jej szkodliwość. Lecz nikt im tego nie tłumaczy. Ludzie wierzący dostosowaliby się do wskazań Kościoła. Lecz Kościół [1]) nie tylko że w tej sprawie milczy, ale sami księża tworzą konspiracje i wiernych do nich kierują [2]). Przeto nic nie stoi na przeszkodzie, by konspirator z upodobania nie hołdował swej skłonności. Bez przesady można powiedzieć, że dla *milionów* ludzi życie pozbawione konspiracji straciłoby na zainteresowaniu...

Od konspiracji krok tylko jeden do mistyki, związanej zawsze z elementem tajemniczości. A mistyka sprowadza nas już w kompleksy psychologiczne, w których z tajemnicą łączy się *wiara*. Toteż nie zdziwi nikogo, rozumiejącego wewnętrzny mechanizm, fakt, że każdy żarliwy konspirator nabiera z biegiem lat cech mistyczno - religijnych. Sto razy już to powiedziano i napisano, że *masoneria jest religią*. Konspirator nie może być katolikiem takim samym, jak katolicy nie należący do konspiracji. Przypuśćmy nawet, że byłby to człowiek loży pro - katolickiej. W praktyce zdarza się to rzadko. Ale przypuśćmy, że w pewnej epoce stałoby się to nawet regułą: Jeśli ten człowiek będzie *dobrym* konspiratorem, jeśli całą duszą da się ponieść konspiracyjnej mistyce, katolicyzm jego będzie napewno daleki od ortodoksji.

I tu wyłania się pytanie: *czy jakakolwiek działalność konspiracyjna, choćby jak najdalsza od masonerii, da się pogodzić z katolicyzmem?*

Oto pytanie naszej epoki".

Stwierdza więc Doboszyński, że konspiracja jest grzechem przeciwko prawdzie, jest zdrożną namiętnością, jest pomostem do mistycyzmu, który czyni konspiratora z biegiem lat adeptem *drugiej religii*, wprost przeciwnej religii Chrystusowej. Stwierdzenie to ma olbrzymią doniosłość, rozświetla bowiem mroki zagadnienia, które było dotąd wstydliwie przemilczane w Kościele, a z którym trzeba raz wreszcie się uporać, jeżeli ludzkość nie ma zejść na bezdroża, skąd już niema powrotu.

Cała różnica pomiędzy prawdą a fałszem, między religią Chrystusa a „religią" masonerii polega na tym — w ujęciu Doboszyńskiego — że pierwsza wykluczyła ze swych obrzędów *tajemniczość*, uznając Boga za jedyny

---

[1]) Kościół Katolicki potępił jedynie masonerię. Nie zwalcza natomiast konspiracji jako takiej, byle by tylko sama o sobie twierdziła, że nie ma charakteru masońskiego.

[2]) Np. w Anglii i St. Zjednocz. istnieją „Rycerze Kolumba", organizacja naśladująca i pod względem rytuału i pod względem konspiracji, stopni i t.d. masonerię szkocką. Jest to swoista „masoneria katolicka", gęsto przetkana księżmi, mająca odciągnąć katolików od masonerii protestanckiej, dając im to samo w katolickim sosie. We Francji działa wśród katolików konspiracja, kierowana przez ks. Jezuitów (twierdzenie to stawiam w poczuciu pełnej odpowiedzialności za moje słowa). Co do innych krajów, brak mi danych, lecz przypuszczam, że wszędzie działają analogiczne konspiracje katolickie. Od trzech wieków opowiada się na ucho o konspiracji jezuickiej, działającej jakoby we wszystkich krajach; nie mam jednak pewności, czy chodzi tu tylko o „drugooddziałową" działalność Tow. Jezusowego, która z natury rzeczy musi się rozwijać poufnie, czy też o konspirację w powyżej przyjętym znaczeniu tego słowa.

Należę do ludzi, którzy doceniają w pełni ogromne zasługi Zakonu Jezuitów; w innym rozdziale tej książki mam sposobność do scharakteryzowania tych zasług zarówno w ich aspekcie ogólnoludzkim jak i polskim, związanym z niezmiernie owocną działalnością Tow. Jezusowego w Rzplitej. Uważam, że podkreślając wielkość zasług wolno mi sygnalizować pewne objawy, umniejszające — zdaniem moim — dobre skutki akcji ks. Jezuitów.

Bodajże pierwszym w naszych czasach odruchem antykonspiracyjnym duchowieństwa katolickiego była niedawna enuncjacja Episkopatu Kanady, skierowana przeciw „Rycerzom Kolumba".

rezerwat tajemnicy, podczas gdy druga postawiła na miejscu Boga właśnie TAJEMNICĘ.

Cóż bowiem jest istotną cechą masonerii? Zdaniem Doboszyńskiego nie jest nią kierownictwo żydowskie, bo nie wszędzie jest ono jej znamieniem wyróżniającym. Nie jest nią również system lożowy, bo może ona działać i bez niego. Nie jest nią nawet walka z katolicyzmem.

„Podobnie ostrożnie należy rozumować gdy się chce wnioskować o stosunku pewnej konspiracji do masonerii na podstawie jej stosunku do religii. Twierdzenie, że masoneria zwalcza katolicyzm ,rzadko daje praktyczne kryteria rozpoznawcze. Mówiąc z grubsza, Wielki Wschód i afiliowane do niego loże reprezentują ateizm, loże anglosaskie deizm. *Stąd już krok tylko do masonów — praktykujących katolików, których sporą ilość obserwujemy w Polsce.* Jest między nimi niewątpliwie część, która robi to cynicznie, ale są również i ludzie, którzy rozgrzeszają się na tym punkcie sami od bull papieskich, grożących ekskomuniką za przynależność do masonerii, i szczerze łączą w sobie tak sprzeczne pojęcie jak katolicyzm i masoneria. Pamiętając o tym, do jakich wewnętrznych kompromisów zdolna jest natura ludzka, musimy się więc liczyć z tym, że *nawet kryterium działalności antykatolickiej, o ile je stosować powierzchownie, również nieraz w praktyce zawodzi i nie pozwala zdemaskować masońskiego charakteru danej konspiracji...*

Jedyną cechą niezmienną wszystkich masońskich form organizacyjnych jest ich konspiracyjność. Jak napisał trafnie Bernard Fay „masoneria, pogardzająca dogmatami, niezależna od królów i religii, lecz spowita w swój sekret, który ją opromienia jak aureola, z najwyższą zręcznością w miejsce tajemnicy Bóstwa ustanawia bóstwo Tajemnicy".

Tajemnica podniesiona do godności bóstwa — oto istotna cecha rozpoznawcza masonerii. *Wszelka konspiracja, bez względu na jej cele i założenia, przygotowuje wyznawców bóstwa Tajemnicy*".

Tę samą prawdę głosi wszędzie w swych dziełach Hoene - Wroński, pierwszy odkrywca istoty i roli właściwej tajnych organizacyj. Ludzie konspiracji, tych zwłaszcza w których ten duch konspiracji osiągnął największe nasilenie, nazywa on „ludźmi tajemniczymi" albo „zgrają piekielną".

„Ludzie tacy, którzy przez *kontemplację wnętrzną* swego ja fizycznego przenikaliby w ten sposób, bez pomocy naszego rozumu stwórczego, aż do warunków pierwotnych naszego istnienia obecnego, i czerpaliby wówczas, w samych tych warunkach, siły nieznane..., zdaliby się posiadać sferę działania nadprzyrodzonego i byliby w ten sposób okrywani, dla oczu innych ludzi, obłokiem tajemniczym, który by z nich czynił istoty całkiem obce naszemu światu obecnemu". („Metapolityka", str. 110).

„Tym sposobem, *odosobnienie zupełne tej zgrai*, śród ludzi świata obecnego, jest pierwszym przydatkiem cechy ich podstawowej; i odosobnienie to sprawuje się samo przez się, bez konieczności zakładania organizacji tajemnej... Każdy z nich czuje w sobie posłannictwo swe przyczynienia się do celu powszechnego, tak iż nie masz potrzeby wskazywać mu go; *i każdy z nich jest poznawany przez innych,* tak iż nie masz potrzeby porozumiewania się uprzedniego, ani nawet żadnych znaków, sztucznych czy naturalnych, jakimi byłyby, na przykład, spłaszczone czoło czy wzrok faryzeuszowski. Toteż *sekret zrzeszenia ich tajemniczego pozostaje nienaruszony* przez wszystkich innych ludzi; a to tym łacniej, że *nikt inny nie mógłby pojąć tego sekretu,* gdyby on nawet został zdradzony, do tego stopnia, że nawet dzisiaj, gdy odsłaniamy warunki wnętrzne i niezłomne istnienia zgrai tej tajemniczej *mało czytelników zdoła nas dobrze zrozumieć...*

I już Apokalipsa, uosabiając zgraję tę tajemniczą w alegorii WIELKIEJ WSZETECZNICY, powiada, iż na czole tej niewiasty napisane jest słowo TAJEMNICA".

Wskazuje Wroński również na pokrewieństwo między konspiracją i „duchem masońskim" a mistycyzmem:

„Ta ci jest cecha podstawowa tych ludzi o pozorze tajemniczym... cecha ta polega oczywiście na POMIESZANIU DWÓCH ŚWIATÓW, świata pierwotnego grzechu i świata obecnego stworzenia albo zbawienia; pomieszaniu, które postacią swą ekscentryczną w świecie nowym, ma pozór tajemnicy t.j. rzeczywistości niepojętej, i nosi w ten sposób miano znane MISTYCYZMU". (tamże, 112).

„Jako taka, umysłowość mistyków, będąc pozbawiona wszelkiego aktu samorzutnego refleksji, i mogąc w bezwładzie swej kontemplacji, zastąpić akt ten rozumowy tylko grą nierządną wyobraźni, stanowi prawdziwą POTWORNOŚĆ UMYSŁOWĄ, jaka nie może być poznana przez doświadczenie, któremu wymyka się w ogóle to wszystko, co należy do samorzutności, nawet wówczas, gdy sprawuje ona własne swe zniszczenie. Zwykła niemoc umysłowa, nawet nierząd we władzach umysłowych, jak one stanowią różne afekcje zwykłe umysłowości ludzkiej, mogą być zbadane przez doświadczenie, jak to się czyni istotnie w dziale patologicznym psychologii doświadczalnej. Ale potworność umysłowa, jaką oznajmiliśmy w umysłowości misyków, wymyka się doświadczeniu; i w ten oto sposób potworna ta umysłowość ludzi tajemniczych pozostawała tak długo ukryta dla ludzi rozumnych świata obecnego...; umysłowość ta mistyczna albo wyjątkowa, wyraża stan anormalny ducha samorzutnego człowieka, stan, jaki filozofia absolutna mogła jedna tylko pojąć i wyjaśnić" (tamże, notka na str. 115).

J. Braun pisze, w art. „Masoneria, jej cele, organizacja, metody":

„*Osobniki tego typu łączą się w związki tajemne i ujmują w system poglądy swoje na rzeczywistość, wręcz przeciwne poglądom społeczeństwa jawnego*, a maskując swe istotne cele i swą awersję do reszty świata, wciągają coraz szersze kręgi ludzkie w orbitę swych działań. Powtaje tak potężna więź organizacyjna złej zasady, konspirująca przeciwko ludzkości i osiągająca wreszcie tak wielkie znaczenie i wpływy, że staje się aktualne ponure określenie Leopardiego:: „Świat jest sprzysiężeniem szubrawców przeciwko ludziom dobrej woli".

To istnienie drugiego, niewidzialnego świata, ukrytego przed okiem „profanów", tłumaczy J. Braun przez analogię z alter - ego freudyzmu, które psychoanaliza zwie *nieświadomym*, a którego impulsy „wdzierają się wciąż w nasze życie świadome, zakłócając je i wtrącając w stan anarchii moralnej".

Ten drugi, utajony świat żyje niejako w stanie grzechu", którym jest konspiracja sama w sobie, matka wszelkich wykroczeń przeciwko prawdzie i dobru.

Toteż A. Doboszyński słusznie dochodzi do takiej konkluzji:

„Z tego, co powiedzieliśmy dotychczas, wypływa podwójna odpowiedź:

1) najistotniejszą cechą wszelkiej masonerii jest konspiracja;

2) konspirowanie wyzwala mistykę, współzawodniczącą w duszy katolika z religią, przeto *każda* konspiracja stanowi przygotowanie do masonerii.

W n i o s e k: *udział we wszelkiej konspiracji jest zasadniczo sprzeczny z obowiązkami katolika*".

Książki

Stanisław Kolbuszewski: Polska a Czechy.

Biblioteka „Kulutry“. Poznań 1939.

Dla ludzi, którzy interesują się zagadnieniami słowiańskimi, książka St. Kolbuszewskiego „Polska a Czechy“, jakkolwiek nie przynosi rewelacyjnych odkryć, spostrzeżeń, uwag czy sądów, jest pożyteczna. Pożyteczna jest nie tylko dla specjalistów od zagadnień słowiańskich, pożyteczna jest także dla zwykłego laika, który chciałby w krótkim, syntetycznym wykładzie objąć całokształt sprawy „polsko - czeskiej“, ściślej: związków kulturalnych polsko-czeskich.

Jak każda praca naukowa, napisana sucho i rzeczowo, pozbawiona jest jednak tego ożywczego pierwiastka dynamiki i życia, co silnie wpływa na przyswajalność lektury w tak doskonałych książkach jak np. „Na tropach Smętka“ lub „Ziemia gromadzi prochy“. Oczywiście praca Kolbuszewskiego nie rości sobie pretensji dorównania tamtym książkom. Autor wcale nie ma takiego zamiaru. Jeśli o tym piszę, to tylko dlatego, by wykazać jak różnie podchodzą do zagadnień naukowiec i literat. Operują materiałem prawie identycznym. Rezultat pracy diametralnie różny. Jeden daje suchy szkic. Drugi żywą treść.

Aby jednak mogły powstać książki żywe i dynamiczne, trzeba wpierw źródłowych i sumiennych opracowań poszczególnych problemów. Rzeczową i sumienną jest książka Kolbuszewskiego.

Wiele w niej ciekawych i trafnych myśli. Choćby ta, że zjednoczenie Czech i Polski w jedno państwo możliwe było za czasów pierwszych Piastów. To była genialna koncepcja państwowa wysunięta przez Chrobrego. Niestety nie doszła do skutku. Później różnice kulturalne między Polską a Czechami tak się wzmogły, że nie można już było stopić tych dwu narodów w jeden, dwóch państw w jedno.

Tragedią Czechów stało się to, że były narodem małym. „Robak bowiem słabości, który stoczył Czechy, zanim jeszcze zdołały samodzielnie się rozwinąć, wżarł się w nie niemal u zarania ich dziejów, gdy wcześniej, niż weszły pod jarzmo niewoli, stały się politycznie i duchowo ekspozyturą obcą“.

W ciągu dziejów śledzić możemy ustawiczną zależność Czech od wpływów obcych: niemieckich i rosyjskich. Czesi ciągle się na kogoś oglądają. Dlaczego tak było?

Podobnie jak autor, widzę wytłumaczenie tego zjawiska w geopolitycznym położeniu Czech. To położenie, równające się wysuniętej daleko na zachód placówce w morzu niemieckim, zmuszało ich raz po raz oglądać się za siebie. Czechy były forpocztą, która ciągle czekała na odwody. W ten sposób wytworzyła się, jak sądzę, specjalna psychika narodu o pierwiastkach heteronomicznych, skłonna do wchłaniania idej przychodzących z zewnątrz, idej, które przyjmowano niekiedy bezkrytycznie, ale tym łatwiej, im były bardziej pobudzające, bardziej emocjonalne.

Niemcy doskonale umieli ocenić charakter Czechów, potrafili ich zawsze, raz siłą raz pochlebstwem, wygrywać przeciw Polsce. Eksponowana placówka, eksponowane położenie Czech, pozbawiło ich zdrowego krytycyzmu, ciągle byli i żyli w obawie.

Na podłożu „kompleksu“ małości, bezradności, wyradzały się idee mistyczne: religijne i słowianofilskie. Kto wie, czy nie w tym szukać należało by zaczątków husytyzmu? Husytyzm wstrząsnął narodem czeskim, pragnął mu przynieść odrodzenie — w rezultacie jednak osłabił naród. „Fanatyzm religijno - socjalny wykopywał przepaść między stanami narodu i obywatelami, w następstwie zaś tego wydawali się Czesi na anarchię i niekończące się wojny domowe, a na kraj ściągnęli wroga, „wyprawę krzyżową“ Niemców“. No, i także zrazili sobie sekciarstwem Polskę.

I tak się dzieje z każdą ideą czeską, która rodzi się na ich gruncie: w rezultacie osłabia naród. Tak było z ideą panslawizmu, szukającą poręczenia wolności i wielkości Czech w Rosji.

Czesi, jak żaden naród słowiański, mają głębokie poczucie wspólnoty słowiańskiej, marzą i śnią o wielkiej Słowiańszczyźnie. Jest to idea zdrowa i słuszna, jak zdrowe i słuszne było dążenie do odrodzenia narodu za czasów Husa. W praktyce jednak idea ta prowadzi duszę czeską po bezdrożach. Idea ta w psychice czeskiej nabiera tonów mistycznvch. Czesi widzą daleką Rosję, nie chcą jednak widzieć bliższej... Polski. Jedność Słowian gotowi urzeczywistniać mimo Polaków lub ponad ich głowami. I znowu nie mają poczucia realności.

Nigdy bodaj nie przeżyli takiego wstrząsu dochowego, jak obecnie, zafascynowani i zapatrzeni w wielkość idei słowiańskiej, w siłę „rudej armady“, w pomoc dalekiego pobratymca.

Pierwiastki heteronomiczne duszy czeskiej skazują naród na zagładę. Kiedy skończy się to tragiczne „qui pro quo“ narodu, który w momencie — zdawało by się — najbardziej pomyślnym, w okolicznościach zdawało by się przychylnych , opada coraz niżej? Idzie do Niemców, gdy są słabi, odchodzi od nich, gdy silni. Zawsze ze stratą dla siebie. Neguje Polskę, gdy właśnie pomoc Polski jest paląca.

Dziwne to jest. Mówił Mickiewicz, i ten sąd jest, zdaje się, słuszny: „duch ludu czeskiego był naprzód dotknięty wpływem Europy i poruszany ze strony intelektualnej“. Czech intelektualista, jakby się zdawało, jest w gruncie rzeczy mistykiem. Intelektualizm Czecha dotyczy strony praktycznej życia, gubi się zaś z tą chwilą, gdy Czech chce ogarnąć wielkie horyzonty, gdy planuje wielkie idee, gdy myśli o wielkości swego narodu. Wtedy Czech intelektualista staje się mistykiem. (Przypominamy, że z poezyj słowiańskich tylko czeska posiada tak bogatą mistykę „realną“, opartą o realia, jaką jest mistyka Brzeziny).

To zjawisko wytłumaczyć się daje tylko przez ustalenie „odśrodkowości“, heteronomiczności duszy czeskiej.

Intelektualizm w praktyce, mistyka w teorii — oto przyczyny determinujące los państwa i narodu czeskiego.

Jakież widoki stąd na przyszłość? Widoki groźne. Zatrata narodu, gdy nie potrafi znaleźć właściwej drogi postępowania.

Gdzież Czesi winni szukać oparcia? I w kim?

Tam i w tym narodzie słowiańskim, w którym skupiły się pierwiastki „dośrodkowe“, autonomiczne psychiki słowiańskiej. Takim narodem i takim państwem słowiańskim jest Polska.

Tego Czesi zrozumieć nie mogą. Fascynuje ich bardziej wielkość obszaru Rosji, skupisko wielomilionowej rzeszy Słowian na wschodzie, niż dynamika i siła Polski, wyrażona w ciągu dziejów przez budowę państwa, przez wysoką rodzimą kulturę, przez ideał wolności.

Wroński, o którym autor pracy nie wspomina, ustalił powyższe cechy dwóch narodów: polskiego i czeskiego. W zjednoczeniu i porozumieniu, w harmonijnym zespoleniu, na płaszczyźnie nadrzędnej, pierwiastków autonomicznych i heteronomicznych, odśrodkowych i dośrodkowych, widział wielkość Słowiańszczyzny.

Niszczącemu działaniu fatum, jakie ciąży nad narodem czeskim, kres położyć mogą tylko Polacy i Polska. Nie ma dziś obawy, aby kultura czeska wpływała destrukcyjnie na polską. Ta obawa istniała dawniej i o niej autor

ze znawstwem opowiada. Dziś Polska stoi mocą własnych idej. A niedługo stać będzie jeszcze silniej na gruncie idej, rodzimych, wielkich i wspaniałych.

Z jednej więc strony trzeba koniecznie, by Czesi zrozumieli, że zbawienie ich, obrona przed ostateczną zagładą leży tylko w Polsce, z drugiej strony trzeba w Polsce pracować nad tym, by zbudzić sympatię narodu polskiego dla tych pobratymców, którzy w ciągu wieków opierali się przemocy teutońskiej, którzy błądzili i szukali dróg do wielkiej Słowiańszczyzny, śniąc o wielkim dniu pojednania wszystkich Słowian. Naród ten, mimo swoje błędy i wady, godzien jest tego, by był zachowany i ochroniony przed zgubą. Trzeba czuwać nad nim.

Trzeba przejść do porządku dziennego nad małostkowością i pieniactwem słowiańskim. Jest faktem, że dziś znów ziemia odwiecznie słowiańska — Sudety — skolonizowana tylko przez obce elementy — przeszła w ręce teutońskie *).

Antoni Madej.

*) Oczywiście, historiozoficzne rozważania są moje, nie autora.

Maurice Paléologue, członek Akademii Francuskiej: Aleksander I, dziwny car.

Przełożyli Marta Grabowska i Józef Konopka. Z 9 rycinami. 359 str. Książnica Atlas.

Maurice Paléologue był ambasadorem Francji przy rządzie carskim. Dzięki znajomości z wielu wpływowymi osobistościami, miał dostęp do różnych bibliotek prywatnych i tajnych archiwów. Rosją, jej historią, jej duchem interesował się żywo. Zwłaszcza pociągała go epoka i zagadkowa postać Aleksandra I. Napisał o nim książkę bardzo ciekawą i godną przeczytania; tło historyczne podmalowane niezwykle szeroko — tak dalece, że postać cara, w założeniu mająca być centralną, niekiedy trochę się zaciera na korzyść znacznie jaskrawszego zjawiska: Napoleona.

Podziwiamy mistrzostwo autora w „orkiestracji" przeobfitego materiału, logikę i przejrzystość, jaką umie nadać niezmiernie powikłanym wątkom ówczesnej polityki międzynarodowej. — Ale epitet: *„dziwny car"* jest znamienny. Gdy mówimy o kim, że jest dziwny, charakteryzujemy nie owego kogoś, lecz własny do niego stosunek. To my jesteśmy zdziwieni, czyli nie umiemy należycie zdać sobie sprawy z danego zjawiska, uchwycić jego racyj dostatecznych, włączyć go w normalne łańcuchy przyczynowości i celowości.

Jakoż tak jest istotnie. Pan Paléologue właśnie dziwi się raczej, niż wyjaśnia. Co najwyżej ujmuje zagadkę cara psychologicznie — ba, psychoanalitycznie — ale nie w sposób, który bodaj jedyny byłby tu naprawdę pożądany; nie w sposób pneumatologiczny. Pod tym względem, o ileż głębiej docierają niektóre studia rosyjskie i polskie!

Bo przecież Aleksander I był mimo wszystko monarchą naprawdę wyjątkowym. Nie oceniając, czy w ostatecznym bilansie przeważa u niego zło czy dobro, trzeba jednak stwierdzić, że ten człowiek miał porywy i myśli i zamiary zgoła wykraczające poza utartą rutynę rządzenia krajem. Są okresy w jego życiu, gdy o jego dobrej woli nie podobna wątpić; ma się wrażenie, że otwierały się przed nim jakieś perspektywy olbrzymie, że dostrzegał jakieś naprawdę wyroczne cele ludzkości; że gdyby rozwój rozumu twórczego dorównywał jego intuicji Prawdy i Dobra, mógł by on nadać losom swej ojczyzny bieg błogosławiony dla całej ludzkości. Niestety, nie znalazł on ani dość mądrego kierownika, ani dość szlachetnych pomocników, sam zaś nie potrafił wytworzyć sobie mocnej podstawy filozoficznej. Toteż jego porywy się załamały; wyszła na jaw słabość i ułomność charakteru; świadomość ciężkich grzechów, nie zrównoważona na szalach sumienia spełnieniem dostatecznie wielkich czynów, wywoływała coraz czarniejszą hipochondrię. Przygniatająca zaś siła bezwładności olbrzymiego imperium dokonała reszty: zamiast zamierzonego wzlotu wzwyż — epoka najszpetniejszej reakcji.

*

Paléologue tak charakteryzuje Aleksandra w młodości: wielki wdzięk osobisty, szlachetna wytworność, chęć podobania się, prostota trochę robiona. Przerost wyobraźni, moralność dość chwiejna.

Fatalny wpływ na całe życie Aleksandra wywarły ponure wrażenia, związane z zabójstwem jego ojca, półobłąkanego Pawła. Bezpośrednio Aleksander nie wziął udziału w tym zabójstwie, ale wiedział o przygotowywanym zamachu i nie sprzeciwiał mu się. Straszne wyrzuty sumienia trapiły go do końca życia. To właśnie zdaje się być powodem jego dziwnej niemożności „znalezienia sobie miejsca", jego maniackiej potrzeby ciągłego podróżowania.

Po śmierci Pawła, Rosja odetchnęła. Młody car jest pełen dobrej woli, hołduje ideom humanitaryzmu. Przybliża do siebie ks. Adama Czartoryskiego, wspólnie snują projekty zbawiennych, na szeroką miarę zakrojonych reform. Niestety już wtedy wrodzona religijność cara zaczyna się wyradzać w mętny mistycyzm z jego nieodłącznym towarzyszem: niezdrowym erotyzmem. Miłostek będzie w życiu cara mnóstwo; ale jeszcze o wiele przykrzej razi dziwaczny jego pomysł, wyraźnie już erotomański: niemal siłą narzuca swą k o c h a n ą żonę przyjacielowi, ks. Czartoryskiemu.

Na niebie Europy płonie gwiazda Napoleona. Aleksander żywi dla cesarza Francuzów podziw, zmieszany z lękiem a nawet z dynastyczną odrazą do parweniusza. Gdy w całym świecie wywołuje falę oburzenia stracenie księcia d'Enghien, car czuje ze zgrozą, że on „ojcobójca", nie ma prawa potępiać. Odtąd nigdy nie zdoła ustosunkować się do Napoleona szczerze i prostolinijnie. To go uwielbia, to znów uważa za najgorszą klęskę ludzkości. Dąży do ugody z Napoleonem, do podziału całego świata na „sferę wpływów" Francji i Rosji; jednocześnie obmyśla środki, zawiera tajne alianse, które by mogły się przeciwstawić groźnemu rozrostowi potęgi Uzurpatora.

Toteż koleje życia tych dwóch monarchów układają się, przeplatają i rozchodzą w sposób możliwie najcudaczniejszy. Od zażartych wojen do histerycznej (ze strony Aleksandra) przyjaźni, do nowych wojen i nienawiści. Napoleon i Aleksander w Tylży... Napoleon w Moskwie... Aleksander w Paryżu — oto główne etapy tej obłędnej epopei.

Paléologue usiłuje być w swej opowieści możliwie najbardziej obiektywnym. Nieźle mu się to udaje w stosunku do cara; natomiast jego ostra niechęć do Napoleona jest aż nadto widoczna. Obraz Cesarza wypada tak bardzo niekorzystnie, że czytelnik polski, tradycyjnie i niejako „podskórnie" miłujący Napoleona, po przeczytaniu tej książki czuje gwałtowną potrzebę jakiegoś antydotum. Przypomina sobie rysy prawdziwej wielkości, genialnej rozległości myśli, przypomina sobie wiekopomną zasługę Napoleona: jasne rozróżnienie i harmonijne skojarzenie zasad prawa Bożego i prawa ludzkiego (formuła: „z łaski Bożej i woli narodu"). To wszystko niestety nie zmienia jednak faktu, że niektóre teksty autentyczne stanowią skazę nigdy niezatartą. Bolesnym zdumieniem — i to bynajmniej nie dlatego, że właśnie my jesteśmy Polakami — napełniają nas listy Napoleona do Aleksandra z doby, gdy się cesarz Francuzów starał o rękę młodej siostry cara, Anny Pawłówny:

„Cesarz Aleksander przyjmuje Caulaincourta, który prosi o natychmiastową audiencję w sprawach arcytajnych i wielkiej wagi. Ambasador Francji ma zlecenie zakomunikować carowi, że: 1⁰ Cesarz Napoleon, który przygotował już rozwód (z Józefiną. — *przyp. mój.*), pragnie wiedzieć w terminie nie dłuższym jak „dwu dni", czy może liczyć na rękę wielkiej księżniczki Anny, młodszej siostry cara. — 2⁰ Cesarz gotów „uzgodnić" ze swoim aliantem z Tylży sprawę „wymazania wspomnienia o Polsce z serc jej dawnych mieszkańców" *(pour effacer le souvenir de la Pologne dans les coeurs de ses anciens habitants)*. Jest gotów nawet, aby „słowa: Polska i Polacy znikły nie tylko ze wszystkich aktów politycznych, lecz nawet z historii" *(que les mots de Pologne et de Polonais disparaissent non seulement de toutes les transactions politiques, mais aussi de l'histoire)*. Oznaczało to po prostu, że za cenę wielkiej księżniczki Napoleon oddaje carowi nie tylko Polskę, lecz przyrzeka, że nie pozwoli się jej podnieść z grobu, tym samym odbiera jej nadzieję zmartwychwstania; Francja zatem przyjmuje rolę wspólniczki i gwarantki zbrodni rozbiorów... Bolesne jest to doprawdy, że podobnie haniebny akt znajduje się w archiwach francuskiej dyplomacji...".

Caulaincourt nie traci ani chwili co do sprawy polskiej; Napoleon dał mu zupełnie wolną rękę do załatwienia tej kwestii według życzenia cara Aleksandra:

„Nie wolno ci się cofnąć przed niczym — pisał w swoich instrukcjach — aby rozwiać raz na zawsze wszelkie złudzenie odbudowy Polski".

Ten fakt — gotowość popełnienia strasznej zbrodni, jaką jest morderstwo całego narodu — nie da się niestety cofnąć ani wymazać.

W ogóle książka Paléologue'a pozostawia ciężkie wrażenie. Kłębowisko nieprawdopodobnych w swym cynizmie, wyuzdanych intryg, na każdym kroku zdrady ze strony najbardziej zaufanych przyjaciół i pomocników, nie ustające ani na chwilę okłamywanie się wzajemne, wysilanie się na możliwie najpomysłowsze podstępy... dosłownie tchu braknie w tym brudnym powietrzu.

Stosunkowo jeszcze najbardziej obronną ręką wychodzi z tego sam Aleksander, który mimo wszystko daje od czasu do czasu dowody wielkoduszności i szerszych widnokręgów. Nawet w stosunku do sprawy polskiej jest tu, względnie mówiąc, mniej fałszu. Zdaje się być rzeczą pewną, że Aleksander istotnie pragnął zjednoczenia wszystkich ziem polskich, nie wyłączając nawet „zabranych" przez Rosję ziem litewskich i ruskich, choć naturalnie „pod berłem carów rosyjskich".

Bardzo plastycznie występuje w pracy Paléologue'a proces stopniowej rezygnacji cara z dumy i górnych planów reformatorskich, poddawanie się wpływom różnych Arakczejewów.

Skończyła się meteoryczna epopeja napoleońska... W Petersburgu panuje najpotężniejszy monarcha Europy, Aleksander I. Ale dusza jego jest nieuleczalnie chora. Już się nie spodziewa dokonać nic wielkiego, więc nie ma po co żyć. Wzmaga się w nim poczucie straszliwej odpowiedzialności przed Jedynym Sędzią. Coraz mu trudniej grać rolę zrównoważonego, praktycznie nieomylnego rozrządcy losów milionów i milionów istnień ludzkich. On ma rządzić i kierować, on, który czuje się najgorszym i najgrzeszniejszym ze wszystkich? Jakimże szczęściem byłoby udać się na pustynię i w twardym żywocie pokutnika zgładzić bodaj cząstkę swych nigdy nie odkupionych przewin!

Taki stan ducha rzeczywiście stanowi wstęp psychologiczny do tego, co będzie ostatnią zagadką „dziwnego cara". Właściwie do dziś dnia nie jest rzeczą ustaloną bez wątpliwości, czy śmierć Aleksandra w Taganrogu nie była tylko zainscenizowanym dla Rosji i świata widowiskiem. Wiele przemawia za tym, że to nie zwłoki cara zostały pochowane; bez niekonsekwencji można przypuścić, że Aleksander umarł znacznie później, po długim okresie pustelniczego życia. Natomiast hipoteza o rzekomej tożsamości byłego cara ze sławetnym „starcem Kuźmiczem" nie wytrzymuje krytyki — przynajmniej w świetle tego, co ja osobiście miałem możność przeczytać. Szkoda, że Paléologue wcale nie porusza sprawy tajemniczego „testamentu" *(zawieszczanija)* Kuźmicza, który w świetle badać autentycznych ,okazał się zlepkiem rozpaczliwych niedorzeczności.

Również dość pobieżnie potraktował autor postać Focjusza, który przez długi czas wywierał bardzo silny wpływ na Aleksandra; Focjusz, który nocami staczał boje z diabłem (niekiedy aż czterech diabłów atakowało go jednocześnie), Focjusz, który nie bardzo umie czytać, Focjusz, którego car całuje w rękę, a rozkazy jego spełnia bezapelacyjnie — to wszak wcale ciekawy prototyp Rasputina.

Zupełną niespodzianką jest sposób, w jaki Paléologue charakteryzuje Mikołaja I — jednego z najpotworniejszych wyrodków na tronie. Miał on

„posiadać żywą i jasną inteligencję, odznaczać się niezmordowaną i systematyczną pracą. Odwagi jego nic nie było w stanie ugiąć, a przy tym miał w sobie wiele poczucia etycznego i szlachetności"!!

Ale powtarzam: Książka jest stanowczo warta przeczytania. Przynosi wielkie bogactwo szczegółów mniej znanych, dobrze powiązanych, przejrzyście przedstawionych.

*

Przekład na ogół bardzo dobry. Usterki jednak są. Dość niejednolicie poczynają sobie tłumacze z rosyjskimi nazwiskami: „z Sołtykowem" (str. 8), ale „w rodzinie Romanowych" i wiele in. Skoro nazwiska na *ow* traktujemy, i słusznie, jako rzeczowniki, to naturalnie powinno być: Romanowów, Romanowami itp. Czemu „obaj Zubowie" a nie: Zubowowie? „Niczego nie podejrzewa" — wolelibyśmy: nic. „Nie wątpił w jej fatalny wynik" — lepiej jest: nie wątpić o. „Z jakiego punktu by jej nie rozważać" — och, jaki brzydki rusycyzm! Ale śpieszę dodać, że kilka błędów, wyłowionych na przestrzeni 400 stron bez mała, wcale nie zmniejsza zasługi tłumaczy, którzy w swą pracę włożyli dużo staranności i znajomości rzeczy.

Cz. J. - K.

Wronskiana

Prof. Stefan Banach ze Lwowa w d. 8 lutego r.b. wygłosił na posiedzeniu Narodowego Instytutu Astronomicznego im. M. Kopernika w Towarzystwie Naukowym Warszawskim referat p.t. „O prawie najwyższym (algorytmii) Hoene - Wrońskiego", w którym dał pobieżny zarys wspomnianego prawa. Po odczycie zabrał głos Paulin Chomicz, który uzupełniając referat znakomitego uczonego, wyjaśnił, że 1) funkcje omega muszą być absolutnie dowolne i liczba ich nieograniczona, 2) spółczynniki alfa nie są funkcjami x i wyrażenia tych spółczynników muszą mieć postać wyznaczników, jako że spółczynniki te są wyrazem ustosunkowań tożsamości, 3) Hoene - Wroński pierwszy z matematyków posługiwał się wyznacznikami (nazwanymi przez niego funkcjami szyn), i dlatego właśnie Muir wprowadził nazwę wrońskianów, 4) symbole delta w wywodzie prawa najwyższego, mogą wyrażać nie tylko różnice lub różniczki, lecz też inne działania, 5) prawo to,

jako wyrażające generację ilości, posiada zupełną ogólność („przerażającą“, jak powiedział Lagrange), i z niego wyprowadza Hoene - Wroński wszelkie rozwinięcia na szeregi, przy czym nie posługuje się wyrazem uzupełniającym czyli t.zw. resztą. P. Chomicz przypomniał, że piękne zastosowanie tego prawa (ściślej: związanego z nim problematu powszechnego) zrobił prof. T. Banachiewicz przy rozwiązywaniu pewnego zagadnienia z astronomii teoretycznej; dodał, że prawo najwyższe algorytmii należy poznać z pierwoźródła, tj. z „Filozofii technii algorytmicznej“, dzieła obszernego (286+645 str.), przygotowaniem do którego jest już świeżo wydany w polskim przekładzie „Wstęp do filozofii matematyki oraz technia algorytmii“; i wyraził nadzieję, że praca nad tym dziełem, w swym wyniku, opromieni sławą naukę polską i przysporzy chwały znamienitemu już skądinąd prelegentowi. — Przewodniczył posiedzeniu dyrektor Narodowego Instytutu Astronomicznego im. M. Kopernika prof. T. Banachiewicz, swoją obecnością zaszczycił prezes Towarzystwa Naukowego Warszawskiego prof. W. Sierpiński, obecny był też prof. S. Dickstein. — Przed kilku dniami ten sam odczyt był wygłoszony na posiedzeniu Akademii Nauk Technicznych.

*

W świeżo wydanym 35-m tomie „Enciclopedia Italiana“ znajduje się artykuł o Wrońskim, zawierający krótkie wiadomości biograficzne naszego mędrca i wykaz główniejszych jego dzieł. Autor przyznaje Hoene - Wrońskiemu bogactwo genialnych pomysłów, które zjednały mu entuzjastycznych wielbicieli, lecz nadmienia, że twórca filozofii absolutnej miał też licznych przeciwników. O odkrytym przez Hoene - Wrońskiego Prawie Stworzenia autor ma bardzo niejasne pojęcie, nazywając je formułą matematyczną, wynikającą z istoty Absolutu. Autor zna też polską bibliografię o Hoene - Wrońskim i przytacza ją bez drukarskich błędów; w bibliografii zaś włoskiej błędnie podaje *determinismo* zamiast *determinanti* i nie wymienia wcale G. Toffoletto, który tak wybitnie przyczynił się do propagowania filozofii absolutnej w Italii przez wydanie kilku dzieł Hoene - Wrońskiego w przekładzie włoskim i przez założenie towarzystwa poświęconego krzewieniu doktryny naszego filozofa.

*

„Sprawozdania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ w nr 1 r. 1938 zawierają m.in.:

1) streszczenie pracy Cz. Latawca p.t. „Pierwsze dziesięciolecie twórczości Norwida“. Autor pisze, że pod wpływem Krasińskiego Norwid przystąpił do obozu antymickiewiczowskiego, do którego należeli Krasiński, Cieszkowski, Trentowski, obozu, który „stał na stanowisku teorii Hoene - Wrońskiego samostworzenia się człowieka, i możliwości osiągnięcia przezeń nieśmiertelności na drodze równoczesnego moralnego jako też intelektualnego rozwoju człowieka“. Norwid przez życie całe nawoływał do pokojowego twórczego rozwoju narodu, potępiając irredentę i jej metody walki o niepodległość. — Książkę Latawca o Norwidzie omówił A. Madej w poprzednim numerze „Zet“.

2) streszczenie pracy F. Koebckego p.t. „O rozważaniach Hoene - Wrońskiego z mechaniki niebios i ich podjęciu przez kilku współczesnych autorów“. Praca dra F. Koebckego ukazała się później w języku niemieckim w „Acta Astronomica“, 1938, gdzie też P. Chomicz i P. P. Demiańczuk umieścili swe repliki, które zostały podane w języku polskim w świeżo wydanych „Wronskianach“.

*

Cz. Jastrzębiec - Kozłowski w nr 2 „Problemów“, 1939, umieścił studium filozoficzne p.t. „Grzegorz Skoworoda, myśliciel ukraiński“, gdzie omawia światopogląd tego myśliciela w związku z wytycznymi doktryny Hoene-Wrońskiego. Autor dochodzi do wniosku, że Skoworodę błędnie zaliczano do mistyków, gdyż on cenił doniosłość rozumowego poznania i twierdził, że prawdziwe poznanie daje człowiekowi szczęście i jest niezbędnym warunkiem cnoty. Skoworoda systematu nie stworzył; uznawał dwoistość składników rzeczywistości. Autor na wstępie pracy zaznacza, że „Skoworoda—to bodajże jedyny myśliciel ukraiński, o którym Europa coś niecoś słyszała“. Co do Polski, to przy sposobności wypada nadmienić, że przed oczami szerszego kompetentnego forum imię Skoworody wysunął prof. Iwan Mirczuk z Berlina na II Zjeździe Filozoficznym w Warszawie w r. 1927, nazywając tego myśliciela ukraińskim Sokratesem i dobitnie zaznaczając, że „Słowianie nie mają ani jednego wielkiego teoretyka, ani jednego systematu czysto abstrakcyjnego myślenia“. Przeciw temu zaprotestował P. Chomicz, który wskazał na Hoene - Wrońskiego, jako wielkiego filozofa oraz na przesadność porównania Skoworody z Sokratesem; postawił też wniosek o utworzenie w Warszawie Instytutu Filozofii Słowiańskiej z taką motywacją: „By ułatwić przenikanie filozofii do życia, tak potrzebującego obecnie świateł filozoficznych, oraz by podnieść swoistą kulturę filozoficzną narodów słowiańskich, co przyczyniło by się do najmocniejszego, bo na idealnych pierwiastkach opartego, zbliżenia tych narodów, II Polski Zjazd Filozoficzny z udziałem filozofów słowiańskich uchwala założenie w Warszawie Instytutu Filozofii Słowiańskiej“. — Wniosek ten został zaprzepaszczony w Komitecie Ogólnym Polskich Zjazdów Filozoficznych.

Książki nadesłane

Dr. Stan. Kolbuszewski: Polska a Czechy. Zarys zagadnień kulturalnych. Poznań 1938. Biblioteka „Kultury“. Nakł. Inst. Akcji Kat. Str. 182.

Marcel Légaut: Modlitwa wierzącego. Z przedm. J. Em. Kard. Verdier. Poznań 1938. Kultura Katolicka tom XXVIII. Wyd. Nacz. Inst. Akcji Kat. Str. 348.

Jan Łempicki: Historiozofia Hipolita Taine'a. Prace z historii literatury polskiej nr. 5. Kraków 1938. Skł. gł. w Kasie im. Mianowskiego. Str. 179.

Kaz. Ryziński: Człowiek charakteru i czynu (Odczyt wygł. w kołach T.W.W.) Warszawa 1939. Wyd. T-wa Wiedzy Wojskowej. Str. 25.

Jan Hoppe: Mozaika robotnicza (artykuły). Warszawa 1937. Nakł. „Jutra Pracy“. Str. 100.

Biblioteka Polskiego Tow. Ekonomicznego we Lwowie Tom IX. Polityka Gospodarcza III Rzeszy. Część II. *Tadeusz Hauser: Bankowość III Rzeszy*. Lwów 1938. Skł. gł. księg. „Książka“. Str. 69.

O mocnego człowieka w Polsce. Odbitka cyklu artykułów z „Polski Zbrojnej“. Warszawa 1939. Skł. gł. Alfons Prabucki. Str. 53.

Stefan Łubieński: Świt. Tragedia - misterium w 3 aktach z prologiem i epilogiem. Miejsce Piastowe 1935. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Str. 119.

Stefan Łubieński: Na morzu i ziemi rubieży. Sceniczna ballada w 4 aktach. Miejsce Piastowe 1936. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Str. 108.

Stefan Łubieński: Przedproże. Poemat sceniczny w 3 częściach. Miejsce Piastowe 1937. Nakł. autora. Str. 267.

Morgenröte. Mysterium in Wort und Musik in III Teilen von *Stefan Łubieński*. Deutsche Bearbeitung von *Gerd Knoche*. Als Manuskript gedruckt. Amsterdam.

Redakcja i Adm. Warszawa, Wilcza 65 m. 1, tel. 8-64-65. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

Prenumerata: półroczna 2,50 zł., roczna 5 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakł. Graf. „DŹWIGNIA", Warszawa, Widok 24, tel. 665-39.